

POKOCHAJ MNIE, ŻOŁNIERZU

Wojna szybko dobiegała kresu, na dniach wzięto Berlin, a myśmy utknęli na niemieckiej rubieży obronnej za niewielkim austriackim miasteczkiem i trzeci dzień staliśmy w miejscu. Niemcy od czasu do czasu ostrzeliwali nas z dział i moździerzy i wówczas wśród ładnych domków ze spadzistymi dachami rozbrzmiewały wybuchy, rozrzucające naokoło odłamki czerwonej dachówki. Gdyby nie te odłamki i cegły na asfalcie, można by było pojeździć sobie na rowerze, szczególnie od zakrętu w dół, do na wpół zburzonego domostwa na rogu, za którym nad rzeką stały okopane armaty. Nie było zbyt bezpiecznie, można było oberwać, chociaż kule z pierwszej linii ognia tutaj nie dolatywały. Za to były miny. Przed minami, tym potwornym wynalazkiem, nie można się było ukryć – ani w polu, ani w lesie, ani w mieście. Chyba że w ziemi. Ale nikt już nie chciał siedzieć w okopach – nasiedziano się przez całą wojnę. A tutaj bujnie krzewiła się wiosna, zieleniała pełną mocą usypiana żółtymi jaskrami trawa na łączkach, w ogródkach przed domkami rozkwitał bez, w dzień przygrzewało słońce. Na sercu zelżało, w duszy pojawiła się jakaś radość,

jakby niepewne przeczucie młodzieńczego, bezrozumnego powodzenia. Zwłaszcza, gdy miało się niewiele ponad dwadzieścia lat i gdy pierwszy raz od początku wojny dostzegło się szansę przeżycia. A dzisiaj jeszcze trafił się sprawny rower, a na rowerze nie jeździło się od dzieciństwa.

Zza ośnieżonych górskich grzbietów wychynęło na niebo poranne słońce i oślepiającym blaskiem uderzyło zza zakrętu tuż przy rogu szerokiego, na wpół zburzonego wybuchem domu. Droga na moment zachwiała się, koło nieoczekiwanie skręciło w bok, a ja z całej siły grzmotnąłem o asfalt. Sunąłem na boku jeszcze parę dobrych metrów. Przewyciężając ból w kolanie uniosłem głowę i ujrzałem ludzi. Prawie dotykając ocalałej ściany domu stał oficerski willys, a obok niego zdobyczny chorch i znieruchomiła grupka oficerów z wybałuszonymi na mnie oczyma. To było oczywiście dowództwo. („Kiedy ich tu przyniosło?” – mignęła mi niejasna myśl.) Skławszy pod nosem i siebie i ich, zacząłem się niezdarnie podnosić. Nie miałem po co się śpieszyć, czułem już wyraźnie, że wpadłem, więc przygotowywałem się wewnątrz na mało przyjemne spotkanie.

– Spójrzcie na niego! – zabrzmiało tonem nie wróżącym nic dobrego. – Dla niego wojna najwidoczniej się skończyła! Już gotów jest skrócić sobie kark na drodze!..

Na moje nieszczęście był to dowódca naszej brygady przeciwpancernej we własnej osobie – przysadzisty pułkownik z byczym karkiem, znajdujący szczególne upodobanie we wrzaskach i przeklinaniu. W brygadzie lubiano go i bano się zarazem. Bardziej jednak się go bano, bo po pierwszym spotkaniu nikt nie miał ochoty spotykać go po raz drugi. Pozostali wojskowi przy samochodach milczeli. Z nogą na zderzaku willysa wpatrywał się w rozłożoną na mas-

ce mapę znajomy podpułkownik ze sztabu brygady, obok niego stał jakiś major w furazerce koloru khaki. Ten ostatni z pobłażliwym, nieobecny uśmiechem przyglądał się moim kłopotom.

– Moja wina – bąknąłem krzywiąc się z bólu w kolanie. Rękaw bluzy był porządnie rozerwany na łokciu, więc trochę wykręciłem rower, by stanąć bokiem do nich.

– Gdzie wasz pododdział, lejtnancie? – zapytał wściekle dowódca brygady.

– Tam gdzie armaty – odpowiedziałem nieoczekiwanie piskliwym głosem, kiwnąwszy w stronę baterii przycupniętej koło strumienia jakieś sto kroków stąd. I speszyłem się jeszcze bardziej, bowiem moi żołnierze – wszyscy co do jednego – wyciągali szyje, z zaciekawieniem obserwując nieszczęsnego dowódcę plutonu, który niespodziewanie wpadł w tarapaty.

– A czyj to rower? Kradziony?

– Nie. Zdobywczy.

– Jaki zdobywczy? Zdobyłeś go w boju? – zapienił się dowódca brygady. Usłużnie poparł go pułkownik:

– Typowy przykład rabunku środków transportu. Jest na to postanowienie rady wojskowej, które powinno zostać bezwzględnie wykonane.

– Ja nie potrzebuję rabusiów! – uciął dowódca brygady. – Natychmiast zwróćcie rower. Tam, skądżeście go wzięli!

– Tak jest! – odpowiedziałem ponuro, ale z niejaką ulgą, bo rozmowa najwyraźniej się skończyła. Prowadząc rower i kulejąc powlokłem się wzdłuż drewnianego parkanu tartaku do stanowisk swojego plutonu.

Wiedziałem skąd się wziął ten rower. Wczoraj sanitariusz baterii Pietruszyn, podczas gdy żołnierze okopywali

działa, kręcił się po okolicy, jak zwykł był to robić na nowym miejscu, i wyciągnął go z pobliskiego domu nad rzeczką. Sam pojeździł na nim trochę, najpewniej też się uczył, upadł parę razy i stracił do roweru ciekawość. Wczoraj jeździli na nim chłopaki z baterii, a z rana wziąłem go ja.

Prowadząc rower dowlokłem się do stanowiska ogniowego. Na łożu 76-milimetrowego działa siedział celowniczy Stepanow i kurzył olbrzymiego skręta z machorką. Dwaj inni żołnierze przysiedli obok, na krawędzi nasypu. Dowódca armaty, sierżant Miedwiediew, spał pod namiotem ustawionym za nasypem. Nastawiacz Kananok, tęsknie pozierając na tyły, przeżuwał kawałek chleba. Czekali na śniadanie z baterijnej kuchni. Jeszcze o świcie poszli tam dwaj z kociołkami, ale jakoś nie wracali: widocznie szef z czymś nie zdążył. Było cicho, z przodu w mieście dotychczas nie strzelano, zapewne Niemcy też jedli śniadanie. Bateria kolejny dzień z rzędu stała z tyłu, za piechotą, nie prowadząc ognia w obawie przed atakiem niemieckich czołgów. Ale teraz, pod koniec wojny, Niemcom też nie w głowie były ataki – byle tylko jakoś powstrzymać nasze. Dowództwo oczywiście zdawało sobie z tego sprawę, ale mimo to postępowało zgodnie z wymogami sztuki wojennej, przeczornie zabezpieczając się przed wszelkimi niespodziankami. Ale żadnych niespodzianek już pewnie nie będzie – Niemcy zachowywali się teraz zupełnie inaczej niż w poprzednich latach, inaczej nawet niż przed kilkoma miesiącami. Jak cztery miesiące temu, gdy dali nam łupnia nad Bałatonem. Przelamali front i pędzili nas aż do Dunaju. Nasz pułk stracił wszystkie armaty i masę ludzi. Niedobitki kończyły wojnę w piechocie.

– Kananok – zawołałem młodego żołnierza. – Odprowadź rower. Do tamtego domu.

Jak to miał w zwyczaju, Kananok najpierw głupekowato się uśmiechnął, a potem spojrzął na ładny budynek u podnóża góry za rwącym górskim strumieniem.

– Niczego sobie domeczek! Pałac.

Pałac to nie był, ale dom wyglądał rzeczywiście ładnie – kamienny, piętrowy, z pomalowanymi na biało obwódkami wysokich okien. Przy wejściu rosły dwa stare świerki, a na granitowej ścianie płożyła się gęsta sieć bluszczu, który z opóźnieniem zazielenił się pierwszymi drobnymi listeczkami. Wzdłuż brzegu strumienia ciągnęło się niewysokie drucziane ogrodzenie. Z tyłu, między domem a stromą skałą wznosiły się stare drzewa, spomiędzy ich konarów przeziarał czerwony dach zakończony niewielką wieżyczką z zielonym kapturem. Gospodarzem tego domu był raczej niebiedny Austriak.

Przysiadłem na skrzyni z pociskami między łóżami dział, a Kananok poprowadził rower przez wąski, drewniany mostek nad potokiem. Za potokiem przystanął, pewnie koło zamkniętej bramy i coś wykrzyknął. Wówczas zza drzwi ukazała się postać jakiejś drobnej kobietki w wąziutkich spodniach, która podeszła do bramy i odemknęła furtkę. Kananok, było widać, zagadnął kobietę, ta coś mu odpowiedziała. Przez moment jakby o czymś dyskutowali, ale stąd nie było nic słyhać. Zresztą, o czym tam mógł rozmawiać Kananok, który nawet i dziesięciu słów po niemiecku nie umiał.

– Popatrzcie no! – z zazdrością odezwał się z tyłu Stiepanow. – Nasz Kananok już sobie Niemeczkę odławia. Już się umawia...

– Nie żadną Niemeczkę – pewnie Austriaczkę. Ale dziewczyna rzeczywiście niebrzydka – wysunął się z rowu czarnowąsy telefonista Mucha.

Chyba miał rację. Nawet z daleka wyglądała zgrabnie – chłopięca figura, ruchliwa i drobna, zwróciła szczególną uwagę artylerzystów. Wzięła rower od Kananoka, lekko skracając głowę odrzuciła do tyłu pasemko krótko przyciętych włosów i zawróciła do domu. Kananok jednak wciąż jeszcze coś do niej mówił, więc odpowiadała przystając co chwila, dopóki nie znikła za świerkami. Żołnierz postać jeszcze trochę, a potem oglądając się ruszył przez mostek z powrotem na pozycję ogniową.

Spojrzałem do tyłu, na drogę – wilys wciąż jeszcze stał koło rozwalonego domu. Oficerowie pochylali się nad maską samochodu, nad rozłożoną mapą; pewnie już stracili zainteresowanie moją osobą. Ale nie wszyscy. Jeden z nich ze dwa razy spojrział zza ich pleców w naszą stronę – to chyba ten łagodny major, pomyślałem sobie. Ale w tym momencie w rowie zadzwonił telefon i telefonista Mucha zawołał mnie:

– Dowódca batalionu, towarzyszu lejtnancie!

Wskoczyłem do rowu i wziąłem słuchawkę. Dowódca batalionu pytał, ile mam pocisków, przeciwpancernych i odłamkowych. Powiedziałem, że muszę policzyć, a potem zamelduję. Jak gdyby mimochodem dowódca ostrzegł:

– Tam gdzieś koło was kręci się pierwszy. I personalny.

– Już ich widziałem. Stoją na drodze.

– Jak pojedą, przekreśl i powiedz dokąd.

Odłożyłem słuchawkę i wylazłem z rowu. Samochody stały na poprzednim miejscu, ale oficerowie, jak było widać, ożywili się, przestali wpatrywać się w mapę. I tamten łagodny major w furazerka już więcej w naszą stronę nie spoglądał. A więc to jest personalny naszej brygady, pełnomocnik przerażającego „smiersza” (*smiert' szpionam*). Do tej po-

ry nigdzie go nie widziałem, może był w brygadzie od niedawna? Naszego pułkowego „smiersza” wszyscy dobrze znali, ciągle laził od baterii do baterii, szczególnie podczas prze-marszów lub przeformowań, w wolnym czasie lubił posiedzieć z oficerami przy butelce. A był wielkim amatorem śpiewów – wszystko jedno, *Rosprehajte chłopci koni* czy *Na poziciju dziewczuszka prowożala bojca*. Mówiono, że przyjechał na front z Dalekiego Wschodu i już po paru miesiącach dostał dwa ordery, takie jak nasz dowódca batalionu, który szedł w pierwszej linii od samego Charkowa i był dwa razy ranny. No, ale od dawna wiadomo, że Bóg nierówno daje nie tylko podczas pokoju, ale i na wojnie.

Samochody z oficerami wreszcie odjechały z powrotem i należało uprzedzić dowódcę batalionu. Pułkowe baterie w tej wąskiej górskiej dolinie rozmieszczone były osobno w kilku rzutach – pierwsza z przodu, po drugiej stronie miasteczka, od razu za piechotę; z tej strony stała nasza, a za nią pozostałe. Wszyscy siedzieli przy tej samej drodze. Dowódcy batalionów oczywiście śledzili nieplanowane ruchy dowódcy brygady i informowali się o nich nawzajem, aby nie dać się zaskoczyć. Na wojnie trzeba się było obawiać dowódcy jak przeciwnika. Wlazłem do ciasnego rowu i zadzwoniłem do dowódcy batalionu, a gdy wylazłem, Kananok był już z powrotem na stanowisku ogniowym. Jego uśmiechnięta twarz promieniała powstrzymywanym zachwytem, co od razu przyuważyli nasi żartownisie.

– Co, umówiłeś się? Kiedy do niej pobiegiesz?

– A może tu ją przyprowadzisz? W gości...

Kananok nie zwracając na nich uwagi zwrócił się bezpośrednio do mnie:

– Tam jest wasza rodaczka, towarzyszu lejtnancie.

– Jaka rodaczka?

– Mówi, że z Białorusi.

– Jak to z Białorusi? Radzieckiej? – nie mogłem tego nijak zrozumieć.

W środku Austrii, pod koniec wojny, w takim eleganckim domku – rodaczka? Coś tu nie pasowało...

– No – tylko tyle wykrztusił małomówny Kananok. Wiedocznie sam nie wiedział nic więcej.

Ta wiadomość nie tylko mnie zaciekawiła, ale prawie wzruszyła. Ludzie z moich stron bardzo mnie obchodzili, przez całą wojnę spotkałem może ze trzech krajanów. Pewnie dlatego, że mój Front Ukraiński był oddalony od Białorusi, większość żołnierzy i oficerów u nas pochodziła z Ukrainy, Północnego Kaukazu, gdzie sformowano brygadę, no i oczywiście z Rosji. Białorusinów w pułku chyba w ogóle nie było. Pewnego razu usłyszałem, że niby kierownik bazy paliw i smarów jest Białorusinem, więc przy okazji zapytałem go, skąd pochodzi. Okazało się, że nie, chociaż wymowę miał bardzo podobną do białoruskiej. Mówił, że jest ze Smoleńszczyzny. Byłem rozczarowany. Tak bardzo chciałem spotkać swojaka, wszystko jedno skąd, z bliższego lub dalszego rejonu, aby powspominać, pogadać o przedwojennym życiu. A może i dowiedzieć się czegoś o rodzinnych stronach, od których byłem oderwany od początku wojny.

Wojna wojną, ale rozerwany rękaw należało chyba zaszyć. Ponieważ w pobliżu węszyło dowództwo, postanowiłem nie zdejmować bluzy i poprosiłem Kananoka, żeby zaszył ją na mnie. Wyciągnął z zimowej czapki zardzewiałą igłę z nitką. Ledwie zdążył przysposobić się do zaszywania, gdy z tyłu odezwały się nasze haubice: ponad głowami, tnąc gęste powietrze, z warkotem poleciały ciężkie poci-

ski. Z drugiej strony niespiesznie zaczęły się odszczekiwać niemieckie moździerz – podobnie jak wczoraj ostrzeliwały miasteczko. Spomiędzy dachów i drzew uniosły się kłęby dymu od wybuchów – dwa całkiem blisko, za tartakiem.

– Wszyscy do rowu!

Tuląc się jeden do drugiego, ścisnęliśmy się w wąskim rowie; na linii ognia, przy kątomierzu działa, jak zwykle został Stiepanow. Wybuchy wstrząsały okolicą, tłukąc na miał dachy domów. Nie wiadomo ile czasu miał potrwać ten ostrzał, o ile miał to być normalny ostrzał bez ruchu piechoty. Bo jeśli planowali włączyć piechotę, sprawy miałyby się znacznie gorzej, mogli i nas włączyć do walki.

– Bałwany! – warczał telefonista Mucha. – Nawet nie dadzą zjeść śniadania.

Rzeczywiście, śniadanie się spóźniało, obyśmy tylko nie musieli jeść go razem z obiadem. Jak przedwczoraj. Tu, w Austrii, było zupełnie inaczej niż jeszcze niedawno na Węgrzech, gdy kuchnią nie zawracaliśmy sobie głowy i żyliśmy się cywilnym jedzeniem – nie potrzebowaliśmy ani kaszy, ani zupy z makaronem. W każdym domu łatwo było o kawałek wędliny, pęto ostrej kielbasy, bochenek białego chleba. Do tego jeszcze butelkę albo i więcej wina – czerwonego lub białego. Ale obficie skropione naszą krwią Węgry zostały z tyłu, a w Austrii z wyżywieniem było nietęgo. Sami Austriacy dostawali kartki. Na ogół głodowali. Musieliśmy jeść to, co nam pichcił szef kuchni. A ten nie wysiłał się za bardzo – przyrządzał to, co przywożono z tyłów.

Ostrzał trwał może godzinę, strzelali i nasi artylerzyści, i Niemcy. Ze dwa razy pociski rozerwały się na drodze przy tamtym na wpół rozwalonym domu, gdzie rano stały samochody. W naszą stronę, do rzeki, wiatr niósł woń spaleniz-

ny. Raptem ogarnął mnie niepokój: żeby tylko nie trafili w tamten ładny domek. W ciągu sekundy można było zniszczyć całe to zaciszne piękno, na które w pocie czoła pracować musiało niejedno pokolenie właścicieli. Tymczasem po drugiej stronie miasteczka, na pierwszej linii, panował spokój. To dobrze, to znaczyło, że żadna ze stron nie atakowała. Można było chwilę odetchnąć, odprężyć się, więc wyłaźłem z ciasnego rowu. Koło nastawiacza Stiepanowa już siedział dowódca armaty Miedwiediew – jakby wbrew swemu nazwisku chudy, tyczkowaty sierżant z wąską, postarzałą twarzą. Ostrzał przerwał jego poranny sen pod namiotem z płaszczka koło nasypu, i teraz sierżant się denerwował.

– Kiego diabła! – zezłościł się, gdy wybuch rozległ się całkiem blisko, zdaje się, że za parkanem tartaku. – Jak zapalą, będzie śmierdziało do wieczora.

– I bez tego dość mamy smrodu – powiedział nastawiacz.

– Takie miasteczko obracają w kupę gruzu. Bez żadnej potrzeby. Koniec i tak już blisko, nic na to nie poradzą.

– Może właśnie dlatego obracają, że już koniec – powiedział Stiepanow. – Żeby nikomu nic się nie dostało.

To pewne, że już koniec, pomyślałem. Tylko myśmy ugrzęźli nie wiadomo dlaczego, natknęliśmy się na jakąś przeszkodę. Od zachodu szło po Austrii natarcie Amerykanów. Czasami radiotelegrafista wylawiał ich niezbyt odległe rozmowy po angielsku, które mieszały się w eterze z rozmowami po niemiecku, co dawniej nigdy się nie zdarzało. Znaczyło to, że byli już niedaleko i lada dzień mogli uderzyć od zachodu, wyjść nam na spotkanie. Jeśli do tego czasu miasteczko nie zmieni się w ruinę. Wcześniej jakoś się o tym nie myślało. Budynków, miast i wsi na wojnie w ogóle nie brano pod uwagę, niszczone jednakowo tak

z naszej jak i niemieckiej strony. Ale teraz jakoś po nowemu zaczęto traktować i ludzkie życie, i własność. Zwłaszcza tu, w wycieńczonej Austrii, która w istocie także padła ofiarą faszyzmu.

Gdy tylko trochę ucichło na górze, wrócili nasi żołnierze z kuchni. Otroszchenko i Skibow przynieśli po dwa kociołki i chleb w plecakach – prowiant dla plutonu na cały dzień. Za nimi nie wiadomo dlaczego przywłókł się na chwiejnych nogach cwaniakowaty sanitariusz Pietruszyn, a ja pomyślałem ze złością: a ten tu czego? Nigdy nie lubiłem tego trzydziestoletniego sierżanta, który w przerwach między ostrzałami pałętał się na tyłach baterii. Ale kiedy naprawdę był potrzebny, wówczas nie można go było znaleźć. To przez jego rower miałem dzisiaj spięcie z dowódcą brygady. Chyba to wyczuwając, Pietruszyn zagadał trochę unieżenie, jakby się przypochlebiał:

– Jak wam tutaj? Dostajecie za swoje? Prawieście na samym przedzie. Nie to co w trzeciej – siedzą jak u Pana Boga za piecem. Dowódca batalionu gra sobie na akordeonie. Rannych nie macie? – zapytał.

Żołnierze wyleźli z rowu, zaczęli kroić chleb na brezencie i sadowić się wokół kociołków z ostygłą kaszą. Wyglądało na to, że Pietruszyn zjadł już śniadanie i jedzeniem się nie interesował. Wyciągnął z kieszeni kawałek aksamitnej szmatki, postawił but na armatnie łożu i zaczął go czyścić. Potem starannie wyczyścił drugi. Ze wszystkich sierżantów w pułku tylko on jeden paradował w zgrabnych chromowych butach, o których nie zapominał nawet w czasie ostrzałów.

Wyczyściwszy buty i nasyciwszy wzrok ich niemal lustrianym blaskiem, sanitariusz nagle przypomniał sobie:

– A gdzie moja zdobycz?

– Jaka zdobycz? – specjalnie udałem, że nic nie rozumiem.

– Rower.

– Rower zabrał dowódca brygady – skłamałem.

– Naprawdę? Tak sobie wziął i zabrał?

– Właśnie. Niech Kananok powie.

Pietruszyn odwrócił się do Kananoka, który z młodym Otroszczoną zaczął jeść śniadanie na nasypie. Słyszając moje słowa Kananok się uśmiechnął.

– No, zabrał...

– Nie wierzę – instruktor sanitarny powątpiewał. – Schowaliście gdzieś.

Zaczął rozglądać się po linii ognia i szukać roweru: zajrzał do pustego rowu i za stertę skrzynek z pociskami pod brezentowym przykryciem.

– Nie szukaj, bo nie znajdziesz – odezwał się nagle Miedwiediew. – Dowódca brygady rozkazał oddać.

– Komu oddać?

– Temu, komu zabrano.

Po coś mu to powiedział, pomyślałem ze złością, niechby sobie szukał. Ale Pietruszyn od razu pojął, że Miedwiediew nie oszukuje i bez słowa przeskoczył nasyp.

– Ty dokąd? Wracaj!

Tylko odburknął coś niewyraźnie i szybkim krokiem ruszył do domku. To mi się nie spodobało, ale co miałem z nim robić? Po linii służbowej mi nie podlegał, a zwracać się teraz do dowódcy batalionu było bez sensu. Dowódca utrzymywał z tym sierżantem bardzo przyjazne stosunki. Instruktor jeszcze całkiem niedawno tachał mu butle z winem, gdy dowódca leżał po przepiciu w kabinie studebac-

kerą, i odpowiadał za niego do telefonu, że dowódca jest chory na malarię. Rzeczywiście wcześniej chorował na malarię, jak zresztą wielu żołnierzy w baterii. Ale chorowano latem i jesienią, zimą malaria nie brała.

Ostrzał już przycichał, zdaje się, że po obu stronach. Dalekie echo zatoczyło się za wierzchołki gór, nie wiadomo tylko, czy na długo. Instruktor sanitarny przeszedł mostek, zdecydowanie przeskoczył przez niewysoką furtkę i skierował się do drzwi domku. Wyczułem coś groźnego w jego pewnym sobie, nie wróżącym nic dobrego zdecydowaniu. Czułem, że ten domek zaczął dotyczyć i mnie. Wyskoczyłem zza dział, kulejąc na nadwerężoną nogę przeszedłem mostek i przelazłem przez ogrodzenie. Z mieszkania nikt nie wychodził, a Pietruszyn raz za razem walił w masywne drzwi kulą.

– Otwierać!

Podbiegłem do niego z tyłu i szarpnąłem za ramię.

– Won stąd!

Instruktor odwrócił się, przeniecował mnie złym spojrzeniem, ale posłuchał i ruszył do furtki. Zaklął tylko z oddali po cichu i obrzydliwie. Odwróciłem się, by ruszyć za nim, gdy z tyłu rozległ się brzęk otwieranych drzwi.

– Dziękuję panu. On już drugi raz...

Na progu w lekko uchylonych drzwiach stała ona – moja rodaczka. Od pierwszego spojrzenia na jej twarzyczkę z zadartym nosem i paroma piegami u jego nasady rozpoznałem nasz na wpół zapomniany, dziewczęcy typ zachowania – uprzejmie powściągliwy, z domieszką lęku przed nieznanym. Wyglądała jeszcze zupełnie jak mała dziewczynka, przypominała trochę dorastającego chłopaka. Ubrana była w ciemną bluzeczkę z białym kołnierzykiem i wąskie porcię-

ta zamiast spódniczki. Z przodu miała przypięty kusy, biały fartuszek, jak u pokojówki, czy coś takiego. Oszołomiony tym spotkaniem, na chwilę zapomniałem o instruktorsze sanitarnym i nawet nie dostrzegłem, jak ów przelazł przez furtkę.

– Pani z Białorusi? – zapytałem zdziwiony.

– No – odpowiedziała cichutko i nastroszyła się jakby.

– Ja też.

– Wiem. Pana żołnierz mi powiedział.

– No tak... Pani tu dawno?

Nie dosłyszałem, czy westchnęła, może tylko miała zamiar to zrobić, ale powstrzymała się. Potem odwróciła się w drzwiach. Nie zaprosiła mnie do środka, ale sama też nie miała zamiaru wyjść na niski, kamienny ganek. Była taka zgrabniutka, cieniutka jak zapałka, z wyrazem jakiejś troski na milej buzi.

– Jak panu powiedzieć... W paru słowach nie sposób wyjaśnić – rzekła i spróbowała nieśmiało się uśmiechnąć. Jak na pożegnanie. Ale ja nie chciałem się z nią żegnać.

– Proszę nikogo nie wpuszczać – powiedziałem czując do niej niejasną sympatię. – Nawet jeśli będą stukać, niech pani nie otwiera. Obronimy was.

– Już stukali.

– Kto stukał?

– Wasi wojskowi – powiedziała i zrobiła pauzę. – Może pan wejdzie? – nieoczekiwanie zaproponowała i usunęła się trochę na bok zrobiwszy krok na śliskich, granitowych płytach swoimi małymi stopami w miękkich pantoflach. Mimowolnie spojrzałem na swoje zakurzone buciory i przestąpiłem niski próg.

Sień była niewielka, z wysokim sufitem, wyłożona czarno-białą glazurą przypominała szachownicę. Z boku stała

duża, czarna szafa, a naprzeciwko były dwa wąskie, strzeliste okna. Pośrodku stał lekki, ładny stolik na wygiętych nóżkach, przykryty kwiecistym obrusem. Kilka stołków na podobnie wygiętych nóżkach stało obok, a do ściany dosunięte były dwa ciężkie, skórzane fotele. Wszędzie było czysto, schludnie i ciemnawo: od zewnątrz okna do połowy przesłonięte były gałęziami starych, świeżo zazieleniałych drzew.

– A pani tu sama? – zapytałem lekko zdziwiony rzucającym się w oczy dostatkiem jej mieszkania.

– Nie, skądże... Są właściciele – odpowiedziała stojąc twarzą w twarz. Nie spuszczała ze mnie swoich jasnych oczu, jak gdyby na coś czekała. Czekala na pytanie.

– Niemcy, oczywiście?

– Nie. Austriacy.

– Aha! Ale... Jak się pani tu znalazła?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy w pobliżu grzmotnęło tak potężnie, że aż coś pobrząkując stoczyło się z dachu. Dziewczyna skuliła się bezwiednie, w jej oczach błysnął lęk, a ja wyskoczyłem za drzwi. Za linią ognia mojej baterii, akurat nad tartakiem, wiatr rozprasał na niebie rudy kłęb dymu – to Niemcy dołożyli szrapnelem. W takich wypadkach lepiej się było ukryć w domu, czy gdzieś pod dachem. Ale ja musiałem biec na swoją pozycję.

Biegłem w stronę baterii i myślałem, czy aby ten szrapnel nie był próbą wstrzelenia się w naszą pozycję? Czy Niemcy nie namierzali pozycji moich armat? Drugi działon plutonu stał po przeciwnej stronie zawalonego deskami tartaku, oby mu się nie oberwało. Na tej pozycji ogniowej wszyscy siedzieli w rowach, ale przed szrapnelem w rowie się nie schowasz. W tym czasie z przenikliwym trzaskiem roz-

pękły się dwa następne, ale teraz dalej, po drugiej stronie drogi. Krzyknąłem do Skibowa, by pobiegł do drugiego działonu i dowiedział się, czy nikogo tam nie zraniło. Niemcy tymczasem przenieśli ogień za drogę. Chyba coś tam zauważyli – może ruch piechoty? Skibow zdążył odbiec ledwie parę kroków, gdy zaterkotał telefon. Dowódca batalionu pytał, co się u nas stało. Powiedziałem, że na razie nic. A jeśli coś się i stało, to nie u nas, bo wałą na razie po sąsiadach. Możliwe, że po piechocie.

Odłożyłem słuchawkę i siedziałem przywarłszy do czyichś pleców. Myślałem sobie, że ostrzał to oczywiście paskudna sprawa, ale pod jednym względem korzystna – ostrzałów nie lubi także dowództwo. Kiedy cię ostrzeliwują, możesz się nie obawiać, że nieoczekiwanie pojawi się jakiś willys z wrzeszczącym dowódcą albo spadnie na ciebie komсомolski darmozjad, politruk czy personalniak. W czasie ostrzału jesteś panem samego siebie, dowódcą plutonu i żadnych wrogów oprócz Niemców nie masz.

Zdawało się, że ostrzał szrapnelami nigdy się nie skończy. Całe jasne niebo nad miasteczkiem usiane było żółtorudymi plamami, które powoli rozwiewały się postrzępionymi pasmami na wietrze, a wśród nich rozbłyskały nowe – pojedynczo, parami albo i po cztery na raz. Przenikliwy łoskot wybuchów rozchodził się donośnym, górskim echem; od tych najbliższych pękały uszy i dusza uciekała w pięty. Aby tylko przetrwać. Aby przeczekać. Nie dać się zabić. Okropnie byłoby zginąć pod koniec wojny...

Ale w końcu niebo nad miasteczkiem umilkło. Na koniec coś wybuchło w oddali i zapanowała pełna trwożliwego oczekiwania cisza. Przybiegł Skibow, powiedział, że w drugim działonie wszyscy cali, nikogo nie zraniło, tyle że

obok, na podwórzu, zabiło dwa konie z taboru piechoty. Konie tam leżą i już przychodził ktoś z cywilów prosząc o pozwolenie wycięcia kawałka koniny na befsztyk. Biedni Austriacy! My nawet na Ukrainie, bez względu na to jak bardzo byliśmy głodni, nie jedliśmy koniny, choć niektórzy twierdzili, że to całkiem niezłe mięso. Ale widocznie na głód rzeczywiście nie ma mocnych.

Na razie nie było widać żadnego ruchu – ani na skraju miasteczka, ani na drodze nic się nie działo. Piechota jakoś przycichła, pierwsza linia nawet przerwała ogień. Mimo tego pozornego spokoju czułem, że długo tu nie posiedzimy, że jednak będziemy musieli ruszyć do ataku, dobić wroga w jego barłogu. Zwłaszcza że z przodu, z drugiej strony, atakują Amerykanie.

Żołnierze jeden za drugim powyłazili z rowu na niewielki prostokąt stanowiska ogniowego, posiadali na armatnich łóżach i skrzynkach z pociskami. Dowódca armaty, Miedwiediew, odszedł na moment pod płot niedalekiego tartaku, a gdy wrócił, powiedziałem ściszym głosem, żeby inni nie usłyszeli:

– Pójdę tam...

– Weźcie kogo. Na wszelki wypadek...

Oczywiście, na wszelki wypadek. Spojrzałem na swoich chłopaków i ujrzałem uśmiechniętą twarz Kananoka.

– Idziemy!

Żołnierz zarzucił automat na ramię i szybkim krokiem ruszyliśmy w stronę domku. Furtka była zamknięta, ale tym razem było mi wstyd przez nią przełazić, nie to co poprzednio. Do drzwi jednak nie musiałem stukać, otworzyły się od razu, jak tylko wszedłem na niski, kamienny ganek.

– Jak sobie tutaj pani poradziła? Przeżyła pani?

– Ależ najadłam się strachu. Proszę wejść – powiedziała dziewczyna wciąż jeszcze pod wrażeniem ostrzału.

– To nic! Już niedługo to potrwa. Z zachodu idą Amerykanie.

– Naprawdę? A my nic nie wiemy. Może pan usiądzie?
– zaproponowała niepewnie.

Nie siadałem, ociągałem się. Kananok kiwnął na drzwi:

– Ja tam, towarzyszu lejtnancie.

Wyszedł na ganek, a ja zostałem sam. Może i nie warto było tu zostawać, ale chciałem jak najwięcej dowiedzieć się o swojej rodaczce.

– Jak się nazywasz?

– Frania. A pan?

Stojąc koło czarnej, pękatej szafy przyglądała mi się z wyraźnie większym zaufaniem niż poprzednio.

– Zmitrok Barejka – odpowiedziałem z lekkim zmieszanym. – Urodzony w Bieszankowiczach. A ty skąd?

– Mniej więcej z tych samych stron – powściągliwie odpowiedziała Frania, jak gdyby nasłuchując. Na dworze jednak nie było słyhać nic szczególnego oprócz szelestu liści na drzewach rosnących tuż przy wąskich oknach. Frania nie dodała żadnych dalszych szczegółów dotyczących swego pochodzenia.

– Nie mam czym pana poczęstować. Chyba że herbatką?

– Dobrze, niech będzie herbatka! – ucieszyłem się usłyszawszy słowo znane z dzieciństwa. Tak kiedyś mówiła mama, wiejska nauczycielka. Ojciec zawsze mówił „czaj”, a mama uparcie poprawiała go: „herbata”.

– Proszę usiąść, ja szybciutko – powiedziała Frania i bezszelestnie zniknęła za bocznymi drzwiami w tych swoich miękkich pantoflach. Czekaając, aż wróci, pomyś-

lałem z obawą: oby tylko nic się nie stało. W końcu obok stali Niemcy, a poza tym nie wiadomo, kto był gospodarzem tego domu. Frania mogła być jakimś gwarantem, że nic się nie stanie. Podeszedłem do pękatej szafy od góry do dołu zastawionej szeregami grubych książek w czarnych okładkach ze złożonymi gotyckimi literami, których nie do końca nauczyłem się czytać w szkole. Obok na ścianie wisiał jakiś ściemniały obraz w bardzo grubych i szerniałych ze starości ramach. W ogóle wszystko tu było stare, może nawet z ubiegłego stulecia, ze śladami złuszczonej złoceni, co niewątpliwie świadczyło o szlacheckim pochodzeniu gospodarzy. Możliwe, że teraz byli faszystami – kto wie?

Frانيا marudziła i już myślałem, czy nie wracać na swoje stanowisko. Ale zatrzymało mnie jakieś poczucie taktu i jednak doczekałem się. Otworzyły się drzwi i weszła Frania, ostrożnie niosąc maleńką, błyszczącą tacę z dwiema filiżankami herbaty i jakąś przekąską na białym spodku z niebieską obwódką.

– Cukru nie mamy. Zawołać żołnierza?

– A ty?

– Nie pijam herbaty – powiedziała Frania i zapytała: – A można zaprosić tu gospodarzy?

– Gospodarzy? No, niech tam...

Gospodarze nie mieścili się w moich planach, nie chciałem ich tutaj oglądać. Ale jeśli ona prosi?.. Tymczasem do pokoju nieśmiało wsunął się bardzo wysoki starzec w czarnej, staroświeckiej piżamie, która wisiała na jego chudych plecach jak na wieszaku. Zresztą, tak samo wisiały na nim spodnie z absurdalnymi, wyblakłymi, generalskimi lampasami w kolorze niebieskim. Był zupełnie łysy, ze zdumie-

wająco krzaczastymi brwiami, pod którymi miał głęboko osadzone jasne oczy.

– *Ich grüsse Sie, Herr Offizier* – powiedział starczym głosem, lekko pochylając głowę w ukłonie.

– *Zdrawija żelaju* – odpowiedziałem oschle. W tej chwili za nim ukazała się w drzwiach niewielka, sucha kobietka z bielusieńką, jak dmuchawiec, głową. Oboje w milczeniu stali przy drzwiach. Siedziałem przy stoliku niewzruszenie, jak pan tego domu, szeroko rozstawiwszy nogi.

– To Doktor Scharf i Frau Sabine – cichutko przedstawiła gospodarzy Frania. O mnie widocznie powiedziała im wcześniej; teraz podeszła do gospodyni i czule przytuliła się do niej. No, no, powiedziałem sobie, coś jednak zaczynając rozumieć w ich wzajemnych stosunkach.

– Kajne naziści?

– *Keine, keine* – chórem powtórzyli gospodarze.

– Oni nie są nazistami – powiedziała Frania. – Doktor Scharf jest profesorem biologii.

– *Ja* – potwierdził gospodarz. – *Stadtsuniversität Hannover*.

No, jeśli to profesor, to może rzeczywiście nie jest faszystą, w końcu biologia może obejść się bez faszystowskiej ideologii, pomyślałem. Ta okoliczność zmniejszyła trochę moją niechęć do gospodarza, a i jego do mnie pewnie też. Wziąłem ze stołu filiżankę herbaty, ale gospodarz powiedział *ein Moment* i wyszedł bocznymi drzwiami. Zrozumiałem, że należy poczekać. Rzeczywiście, wrócił po chwili poważnie stąpając na sztywnych nogach po śliskiej podłodze i postawił przede mną niewielką karafkę napełnioną do połowy złocistym płynem.

– *Das ist Cognac*.

– O! – wyrwało mi się. Gospodyni powiedziała coś do Frani i dziewczyna cichutko zniknęła za drzwiami, a wróciwszy postawiła cztery miniaturowe kieliszki na cienkich nóżkach.

– Doktor Scharf częstuje. Zawołać żołnierza?

– Sam to zrobię.

Wyszedłem na ganek. Mój Kananok siedział na stopniu schodów i spoglądał ponad potokiem na swoje stanowisko, gdzie siedzieli i leżeli jego towarzysze. Na dworze było ciepło, świeciło jaskrawe słońce; nad miasteczkiem i górską doliną zawisła południowa cisza, jak gdyby w ogóle nie było wojny. Kazałem Kananokowi pobiec na stanowisko ogniowe i przynieść chleba.

– Miedwiediew miał jeszcze tuszonkę. Poproś jedną puszkę.

Kananok pobiegł, a ja wróciłem do sieni. Gospodarze nadal tu byli, tyle że teraz siedzieli przy ścianie w skórzanych fotelach – starzy i jednakowo niezaradni, to było widać na pierwszy rzut oka. Frania naląła do czterech kieliszków.

– Trochę zaczekamy – powiedziałem. – Zaraz przyniesie zakąskę.

– To świetnie – powiedziała Frania. – Niemcy piją bez zagryzania.

– A my zagryzamy. Jeśli mamy czym.

– U nas właściwie niczego nie ma. W poprzednich dniach jeździłam po chleb na rowerze. Wydawali na kartki. Ale teraz wszystko się skończyło. Jak będzie dalej?

– Jakoś będzie – powiedziałem. – Najważniejsze, że wojna się kończy. Amerykanie tu idą. Szybko i tutaj Hitler będzie kaput!

Staruszkowie spoglądali udręczonymi oczami na mnie, radzieckiego oficera, który w ich mniemaniu pełen był zdrowego, młodego optymizmu. Ale mój optymizm nie bardzo im się udzielał. Mieli swoje własne zdanie na temat wojny i na temat życia. Ale to mnie niezbyt interesowało. Czekałem na Kananoka, który niebawem przyniósł twardy jak kamień żołnierski chleb i puszkę wieprzowej tuszonki – wszystko położył na skraju małego stolika.

– *O, American* – cicho zauważył stary, zauważywszy pięcioramienne gwiazdy na puszcze.

– *Lend lease* – odpowiedziałem.

Frania przyniosła nóż stołowy, którym otworzyłem konserwę, a ona odkroiła z bochenka parę cienkich kromek.

– Zaraz przygotowuję wam kanapki.

W czasie gdy przygotowywała kanapki i smarowała chleb tłuszczem z puszki, skrycie i z od dawna nie odczuwaną przyjemnością śledziłem szybkie ruchy jej zwinnych paluszków, raz po raz spoglądając na ożywioną, radosną i bardzo powabną twarzyczkę. Podobała mi się coraz bardziej. Kiedy skończyła, położyła dwie kromki na talerzyku i zaniósła siedzącym w fotelach gospodarzom.

– *Danke schön* – gospodarz skinął głową, potem uniósł się i drżącymi palcami podniósł kieliszek ze stolika. Frau nie poruszyła się, ciągle patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

Wypiliśmy – ja, gospodarz i Frania, czwarty kieliszek pozostał na stoliku.

Koniak okazał się mocny – miałem wrażenie, że od razu się upiłem. Może dlatego, że nie byłem przyzwyczajony. Dotychczas, na Węgrzech, piliśmy wino i znaliśmy jego moc. Mówiąc dokładniej, wiedzieliśmy, że jest słabe. Wcześniej

tylko raz, pod Siófokiem, spróbowałem koniaku i nie zapomniałem tego do dzisiaj. Zrozumiałem wtedy, że koniak to nie wino i że należy używać go z umiarem.

– Panie profesorze – nie wiedzieć dlaczego odezwałem się po polsku. – Czy pan tu nie krzywdzi mojej rodaczki?

Gospodarz oczywiście nie rozumiał mojego pytania, więc Frania przetłumaczyła je na niemiecki. I od razu sama odpowiedziała:

– Nie krzywdzą mnie. Są dla mnie jak rodzice.

– Jeśli tak, to dobrze. *Gut!*

– *Gut, gut* – zgodnie zawtórowali gospodarze.

– Ale teraz my ją zabierzemy – powiedziałem z podchmieloną stanowczością i zerknąłem na Franię.

Myślałem, że przetłumaczy moje słowa gospodarzom, ona jednak milczała. Cień zakłopotania przemknął po jej twarzyczce i wyczułem, że coś było nie tak. Nie nastąpiło to co zwykle, gdyśmy wyzwalali obozy pracy w miastach, baraki pełne ludzi, z których wszyscy od razu rzucali się do swojej ojczyzny. Wszyscy rwali się do domu. Spodziewałem się, że w takiej chwili usłyszę podziękowanie, najpierw od Frani, potem od gospodarzy – za wyzwolenie z faszystowskiej niewoli. Tu jednak tego się nie doczekałem.

Nastąpiła trochę niezręczna pauza. Siedziałem przy stole, naprzeciwko mnie Frania przygotowywała małe, jak pudełka od zapalek, kanapki. Stare małżeństwo siedziało nieruchomo w miękkich fotelach. W sieni zrobiło się widniej: przez wąskie okna przedarły się promienie słońca, rzucając na ceramiczną podłogę poszarpany wzór ruchliwego listowia zza okna. Frania zaniósła kilka kanapek na ganek Kananokowi i wróciła z pustym talerzykiem – Kananok poradził sobie bez niego.

Po tym jak wypilem ze trzy kieliszki i w karafce zostało już niewiele, starzy wstali i ociężałe człapiąc, wyszli bocznymi drzwiami do kuchni lub czegoś w tym rodzaju. Wtedy Frania przysiadła się do stolika i zaczęła mi się przyglądać z powściąganą uwagą.

Czułem się trochę pijany, tym niemniej zaczynało do mnie docierać, że moje wcześniejsze, zwyczajne w czasach wojny wzorce rozumowania zachwiały się nieco w zetknięciu z inną, dotychczas nie znaną mi rzeczywistością. Był to świat odmienny od tego, który znałem, świat z innymi problemami, wobec których byłem chyba profanem. W odróżnieniu od mojej rodaczki Frani. Ona w tym świecie żyła, ja się z nim dopiero zapoznawałem. Moje zainteresowanie jej osobą wciąż rosło. Ale głupio mi było ją wypytywać, a ona, jak mi się zdawało, nie miała większej ochoty opowiadać o sobie. Czy chociaż ponarzekać, tak jak to kobiety miały w zwyczaju. Frania nie narzekała, ale w jej twarzy nie dostrzegłem też zbytnej radości. Może po prostu nauczyła się ukrywać swoje uczucia? Ale po co miałyby ukrywać je przede mną, przecież nie byłem obcy. Byłem rodakiem na obczyźnie.

Tam, na linii ognia, nie zwracałem większej uwagi na swój wygląd zewnętrzny. Chodziłem w powalanych ziemią spodniach, nieczyszczonych buciorach i bluzie z byle jak przyszytym rękawem. Gdy znalazłem się w tej sieni, poczułem coś nowego i próbowałem ustawić się w taki sposób, by niedostatki w moim wyglądzie nie rzucały się za bardzo w oczy. Ale później zapomniałem o tym postanowieniu i mój rozdarty rękaw nie umknął bystremu wzrokowi Frani.

– Proszę mi dać, zaszyję – powiedziała po prostu i w jej słowach usłyszałem zapomnianą intonację głosu mojej młod-

szej siostry Niny, od której nie miałem żadnych wiadomości od początku wojny.

– Proszę mi to dać! To nie potrwa długo. Bo tak... Bo tak jest nieładnie – powiedziała z uśmiechem.

Ten uśmiech najprawdopodobniej zdecydował i wybił mnie z zakłopotania. Rozpiąłem pas, ściągnąłem przez głowę swoją znoszoną bluzę i doznałem nieoczekiwanej przykrości, ujrawszy na sobie nieświeżą bieliznę z niedorzecznymi tasiemkami na piersi. Chciałem zrezygnować z zaproponowanej przez Franię przysługi, ale dziewczyna już wzięła bluzę i krótkim, precyzyjnym ruchem rozłożyła ją na kolanach. Zaczęła zręcznie zaszywać dziurę w moim rękawie i to zajęcie jeszcze mocniej poruszyło czułe struny mojej duszy, nastrojone ku niej już wcześniej.

Bez względu na to, gdzie się znajdowałem i co robiłem, na wojnie od dawna przywykłem poprzez gwar rozmów i zajęć wyławiać z otoczenia odgłosy, jakie mogły mnie ostrzec o niebezpieczeństwie lub zmianach w sytuacji. Przede wszystkim o złych zmianach. Widocznie moja czujność udzieliła się i Frani, bo od czasu do czasu podnosiła zatrwożone spojrzenie.

– Będą jeszcze strzelać?

– Oczywiście, że będą. Zanim to wszystko się nie skończy.

– A kiedy się skończy?

– Wtedy będzie pokój. I szczęście. I życie – powiedziałem nie bez pewnego patosu. Oczywiście i mnie dręczył ciężki niepokój, ale starałem się go zdusić, by nie zagłuszał mojej tkliwości do Frani. Zdaje się, że zacząłem już przeczuwać pewną radosną możliwość, jaką mi obiecała nieznaną przyszłość. Ale było to bardzo niepewne i niewyraźne, i mogło zniknąć w każdej chwili.

Frania cichutko westchnęła.

– Mam siostrzyczkę, akurat taką jak ty. Ma siedemnaście lat, jeśli jeszcze żyje – powiedziałam.

– Ja mam trochę więcej – cicho uściśliła Frania. – A gdzie teraz jest pana siostrzyczka?

– Możliwe, że wywieźli ją do Niemiec.

– W Niemczech jest źle. Poza wszystkim strasznie bombardują. Dlatego moi gospodarze przyjechali tutaj. Kiedy im zbombardowali dom.

– A tu jest lepiej?

– Było lepiej do tej pory. Póki wojna tu nie doszła. To dziwne, wcześniej myślałam, że może w Niemczech będzie spokojniej, bo u nas zrobiło się całkiem nie do wytrzymania: wszyscy do wszystkich strzelali, zabijali. Partyzanci zabijali Niemców, Niemcy zabijali wszystkich jak leci. Życie stało się nie do wytrzymania. Jak powiadał mój wujek Łukasz, żywym zostało tylko do trumny się położyć.

– Wszystko przez tego przekłętego Hitlera.

– Oczywiście, przez Hitlera. Ale i inni nie są lepsi – cicho powiedziała Frania i umilkła.

Wiadomo, nie lepsi, ci wszyscy gaulajterzy i generałowie, geryngi i gebelsy. Zgładzili tyle ludzi, zburzyli Europę. Ale ich koniec jest bliski, Europa nareszcie uwolni się od tego krwio pijcy, czyż to nie powód do radości? Taki mniej więcej kontrargument przeciwstawiłem pesymizmowi Frani, a ona po chwili milczenia odpowiedziała powściągliwie:

– Radość. Ale nie bezkrytyczna. – Uśmiechnęła się jakoś przepraszająco, burząc drobne nieporozumienie między nami. Dziw, ile może uczynić bezwiedny uśmiech dziewczyny, na dokładkę takiej, która nam się podoba. Jednak moje tak przyjemne roztkliwienie nagle zmroziła straszna myśl.

– A czy twoi gospodarze mają syna?

– Mieli – odpowiedziała krótko.

– I?..

– I już nie mają – pół żartem dokończyła Frania, chyba domyślając się mojego podejrzenia. – Zeszłego roku zginął w Prusach.

Powiedziała to lekko i bez wysiłku, ale w tej lekkości wy-czułem jakąś fałszywą nutkę, więc przemilczałem.

– Przysłali zawiadomienie, jego dokumenty i listy. I numer mogiły. A dlaczego pan pyta?

– Tak sobie.

– Oboje starzy strasznie to przeżyli. Frau Sabinę aż spara-lizowało, dostała udaru. Ledwie przysła do siebie. Te-raz chodzi o lasce. Jej krewni zginęli w bombardowaniu Hamburga. Nikt nie przeżył. Bratanica zmarła w tym mieś-cie i po niej został ten dom. Zamierzali doczekać w nim końca wojny. Ale wojna znalazła ich i tutaj.

Kończyła już zaszywanie mojego porządnie rozwalone-go rękawa, na który nie starczyło jednej nitki i Frania mu-siała nawlec drugą. Robiła to wszystko precyzyjnie i zwin-nie, a ja z zachwytem obserwowałem to dawno nie widzia-ne kobiece zajęcie. Jej niedawne, pełne trwogi napięcie chy-ba już minęło. Albo tylko mi się tak wydawało.

– Wojna się skończyła, ale... Zamiast Niemców zaczną tu rządzić Rosjanie. Starzy bardzo się boją...

– O! A to czego?

Pochylając główkę nad szyciem Frania tylko wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: a kto ich tam wie? Ja też nie wiedziałem. Wszystko co powiedziała, było dla mnie niezwykle i zaskakujące, wewnątrznie się z tym nie zgadza-łem, ale nie wiedziałem, jak zaprzeczyć. Frania też to chy-

ba czuła, więc żeby rozproszyć moje niezręczne zakłopotanie, powiedziała:

– At, lepiej to zostawmy.

Zostawmy to zostawmy, nie sprzeciwiałem się jej. Ten temat obchodził mnie teraz najmniej. Nęciła mnie ta dziewczyna i instynktownie dążyłem do nadania naszej rozmowie tonu swawolnej bez troski. Chciałem żartować, ale wciąż brakowało ku temu nadarzającej się sposobności i nastroju. Wisiał nad nami cień wojny.

Frania jeszcze nie zdążyła skończyć szycia, gdy drzwi się uchyliły i do sieni zajrzała blondasowata twarz Kananoka.

– Towarzyszu lejtnancie...

Niepokój w jego głosie kazał przypuszczać, że coś się stało i w samej koszuli wyskoczyłem na podwórze. Na stanowisku ogniowym wszystko wyglądało jak zwykle, ale na drodze po przeciwnej stronie strumienia stał obcy dodge bez brezentowego nakrycia. Od samochodu, przecinając pusty plac, kierowała się ku nam grupa wojskowych. Z przodu kroczył rosły i szeroki w barach mężczyzna. Wyglądało na to, że był bez broni (może miał pistolet przy boku); za nim szli jeszcze trzej – dwaj mieli krótkie pepesze. Szli bezładnym szykiem, zbliżając się do mostka w czujnym milczeniu. Ruszyłem zaniepokojony do furtki, im na spotkanie.

– Ty kto? – zapytał ten z przodu, zatrzymując się przed zamkniętą furtką. Na naramiennikach miał jedynie pagony sierżanta, więc mój niepokój trochę opadł.

– A ty kto? – zapytałem starając się przybrać jak najspokojniejszy ton.

Zamiast odpowiedzi sierżant zagrzmiał wściekłym, metalicznym głosem:

– Kto zajmuje ten dom?

– Ja zajmuję.

– Natychmiast opuścić! – jego głos stał się całkiem drańsiwym. – Jestem z gwardyjskiej kompanii wywiadowczej.

– Poszukajcie sobie innego! – wypaliłem z nagłą stanowczością. – Tu kwateruje pułk przeciwpancerny.

– Jaki znowu pułk! – sierżant lekko przeskoczył furtkę.

– Stój! – krzyknąłem żałując nagle, że zostawiłem swój pistolet w sieni. Chwyciłem automat Kananoka, który stał przyczyszony z tyłu. – Stój!!!

Sierżant rzeczywiście się zatrzymał, nicując mnie złym spojrzeniem. Potem obejrzał się do tyłu, gdzie za furtką stali w pogotowiu jego pomocnicy. Tamci, wyglądało na to, też sięgali po broń.

– Zwariowałeś?! Zachciało ci się trybunału? – ryknął groźnie i poruszył mięśniami na świeżo wygolonej, twardej twarzy. Ale do swojej parabelki wiszącej na udzie na razie nie sięgał.

Staliśmy tak przez chwilę, wpatrując się w siebie nawzajem – ja z przygotowanym do strzału automatem, on najpewniej wahając się przed zrobieniem tego kroku. Coś mu jednak przeszkadzało w podjęciu decyzji. Obejrzał się, ale nie na swoich milczących towarzyszy za furtką, a na pas ziemi za rzeczulką, gdzie zauważył moich artylerzystów.

– Twoi?

– Moi.

Cóż, moi artylerzyści pewnie niewiele rozumieli z tego, co się tutaj działo, ale z uwagą śledzili nas ze swojego stanowiska i to chyba zatamowało wezbraną stanowczość sierżanta.

– No dobrze – powiedział spokojniej i zanim przeskoczył furtkę z powrotem, pogroził: – Gorzko pożałujesz, kutafonie!

Nie wrócili jednak na mostek, a szybkim krokiem poszli gdzieś wzdłuż brzegu – pewnie do innych zabudowań przy strumieniu. Oddałem automat Kananokowi i wróciłem do domu.

Nie powiem, żebym przeżył to spięcie lekko, bez zdernerwowania. Wiedziałem, może się to nie skończyć ot tak, po prostu i że jeszcze mogę mieć kłopoty. Miałem przecucie, że to nie przypadek, że wmieszało się tu jakieś licho. Czy to aby nie nasz instruktor sanitarny się przysłużył, bo niby dlaczego skierowali się od razu do tego domku? Z pewnością nie dlatego, że był najładniejszy. Czyżby na tyłach brakowało odpowiednich i ładnych kwater dla wywiadowców armii gwardyjskiej? I czy aby na pewno szukali miejsca dla kompanii wywiadowczej?

Z trzęsących się rąk przygaszonej Frani wziąłem swoją bluzę. W milczeniu wciągnąłem ją przez głowę. Frania o nic nie pytała, pewnie i tak wiedziała, co się stało na podwórzu – na jej spochmurniałej twarzyczce malował się strach.

– Nie bój się – powiedziałem zakładając pas. – Obrońmy.

– Dziękuję panu – cichutko odpowiedziała dziewczyna.

– I wiesz co... Mów mi po imieniu. Dobrze?

– Dobrze, Micia.

Zasiedziałem się chyba w tej gościnie, nie należało opuszczać stanowiska na tak długo. Choć dokoła panowała cisza, w każdej chwili mogli ogłosić alarm. Dowódca batalionu już chyba nie raz telefonował do Muchy i wzywał dowódcę plutonu. Miedwiediew oczywiście wyręczył, powiedział jak zwykle, że lejtnant poszedł do drugiej baterii, gdzie nie było telefonu. Ale przecież nie mógł pójść do tej baterii na pół dnia.

– Wróć – powiedziałem do Frani, która zatrzymała się w uchylonych drzwiach, nie wychodząc na ganek. – Nikogo nie wpuszczajcie!

Na stanowisku wszystko szło jak zawsze, gdy nie było ostrzału. Celowniczy Stiepanow kurzył swoją machorkę; leniuchowaty Otroszchenko leżał do góry brzuchem na nasypie, zwiesiwszy w stronę działa długie nogi w luźnych, zdobycznych buciorach. Młody Skibow dziobał łopatką pod lemiem armaty, aby zwiększyć pole ostrzału. Jego ospałą pracą kierował czepiański Miedwiediew, który siedział naprzeciwko na łożu działa.

– Głębiej wybieraj, jeszcze głębiej. Bo inaczej rąbnie po odrzucie i posadzi celowniczemu śliwę pod okiem. Wasz obiad, lejtnancie, jest w kociołku na skrzyni – powiedział zwracając się do mnie. – Na dwóch z Kananokiem.

– Jedz, Kananok, ja nie będę.

Nie miałem ochoty na obiad. W głowie wciąż czułem wypyty koniak i wciąż jeszcze byłem poruszony przykrym śpięciem. Dodge bez budy gdzieś znikł, ale nie zauważyłem, w którą stronę pojechał. Odjechali na dobre albo weszli gdzieś w pobliżu. Mogli znów spróbować zająć ten domek. Patrzyłem w tamtą stronę przez cały czas, choć nie bardzo wiedziałem, co bym zrobił, gdybym ich tam zobaczył. Powiedziałem Frani, żeby nikogo nie wpuszczala, ale zdawałem sobie sprawę, że jej możliwości w tym względzie są bardzo ograniczone. Jeśli tamci zechcą postawić na swoim, to nawet czołg ich nie zatrzyma. Co im tam ten domek! Już miałem podobne spotkanie, co prawda nie tutaj, a na Węgrzech, koło Balatonu, w pewnym hrabiowskim majątku, który zajęliśmy pod wieczór. Ledwie zdążyliśmy się skryć przed deszczem na noc, gdy na podwórzu wtoczyło

się kilka studebackerów i podobni do dzisiejszych chłopcy z automatami zaczęli nas wykurzać z pałacu. Kazali nam się wynosić, bo tam miał się rozlokować sztab pułkownika gwardii Malowanego. A w rzeczy samej temu pułkownikowi potrzebne były nie zimne, hrabiowskie pokoje z portretami przodków na ścianach, a piwnice pod nimi, gdzie można było znaleźć trunki. I zakąski. Po wykurzeniu nas w pole balowali tam przez całą noc, a o świcie, zanim rozpoczęła się walka, ich studebackery powiozły zdobycz, ciężko kolebiąc się na wybojach. A myśmy tylko szczękali zębami, siedząc w mokrym młodniaku przy drodze. No, ale tam był dowódca batalionu i to on decydował – czy mamy zostać czy ustąpić. Zdecydował ustąpić, być może słusznie, to go mniej kosztowało. Bo cośmy mogli zrobić tej pijanej hałas-trze, chronionej autorytetem wysokiego dowództwa? Tu zaś dowódca batalionu był daleko, decyzja należała do mnie. Więc ją podjąłem. Teraz będę czekał na następstwa.

Tymczasem w rowie słychać było przyciszony głos Muchy rozmawiającego z kimś przez telefon; sądząc po głosie, nasz telefonista nie rozmawiał z dowództwem, prawdopodobnie ze swoim bratem łącznościowcem. Po jakimś czasie wstał od telefonu i głośno oznajmił:

– Bracia Słowianie! Wojna się skończyła!!

Na stanowisku ogniowym wszyscy znieruchomieli i umilkli, czekając na komentarze do tej radosnej nowiny. Mucha nastroszył swoje wąsy i doniosłym głosem obwieścił:

– Radiotelegrafiści z brygady podsłuchali: jutro kapi-tulacja.

– A dlaczego nam nic nie mówią? – zapytał Miedwiediew.

– Pewnie jeszcze powiedzą...

Mucha znowu zniknął w rowie i przylgnął do swojej słuchawki. Teraz wszyscy czekaliśmy niezwyklej wieści, jakie mogły napęlić żołnierskie serce radością i opromienić cały świat. Pomyśleć tylko – wojna się skończyła, a ty żyjesz! Nie zabili cię. Długo będziesz jeszcze żył, bardzo długo. Już więcej nie będziesz dygotać w okopie i czekać na swój ostatni wybuch. Wrócisz do domu, znowu ujrzysz swoją mamę. Znajdziesz swoją miłość, która da ci zasłużone szczęście w życiu. Wojna się skończyła!..

Ale jeśli wojna się skończyła, to pewnie długo tu nie zabawimy. Pewnie gdzieś się ruszymy – z powrotem albo do przodu. Do przodu jednak nie puszczają Niemcy – czy aby jeszcze nie wiedzieli o kapitulacji? A może, co gorsza, nie zgadzają się na nią? Jeśli to są jacyś esesmani, to oczywiście kapitulacja nie będzie im w smak – tacy jeszcze powołują. Zniecierpliwiony brakiem dalszych wiadomości wlałem do rowu i zatelefonowałem do dowódcy batalionu. Czy to prawda, że Niemcy już kaput?

– Jak będą kaput, to wam powiemy. Nie będziemy czekać ani minuty. A na razie bądźcie czujni – ostudził mnie dowódca batalionu.

Pewnie ma rację. Jeśli rozkazuje zachować czujność, to chyba nic jeszcze nie było. Widocznie radiotelegrafisci się pośpieszyli. Możliwe, że gdzieś kapitulują, ale u nas będą się ociągać. Czekać na rozkaz. Podobnie jak my czekamy na rozkaz z góry. W tym sensie nic się nie zmieniło. Nawet jeśli wojna się skończyła, wszyscy będą słuchać własnego dowództwa. Jak zawsze. Tylko dowództwo decyduje, czy ma być pokój czy wojna.

A jeśli to rzeczywiście kapitulacja, to przecież nie zostawią nas w tych jamach. Trudno już było usiedzieć w oko-

pie. Opuściłem stanowisko ogniowe i wyszedłem na pobliską zieloną trawkę. Dokoła było zupełnie cicho i pokojowo, nie strzelały ani moździerze, ani armaty. Nie było też słychać obrzydłej i niepokojącej strzelaniny na pierwszej linii. Wszystko ucichło, przycisnęło się. Wyczekiwało. Może jednak to już koniec tej przeklętej jatki? Miałem huśtawkę nastrojów od radości do ponurej niepewności, gdy spoglądałem na pobliski domek. Korciło mnie, żeby tam pójść, do Frani. Co teraz zrobi z tymi starymi Austriakami? Musi wracać do domu. Na Białoruś. Ale jak? Gdzie mam ją zabrać? Do artylerzystów na stanowisko ogniowe? Chłopaki oczywiście byliby zadowoleni. Ale co na to dowództwo?

Słońce schowało się za górskim masywem, doliną podpełznął dosyć chłodny cień. Wszystko dokoła spochmurniało, szybko gubiąc swój uroczysty wiosenny charakter. Zza szczelnego płotu tartaku czuć było spalenizną, wiatr niósł także gorzkawą woń pogorzeliisk. W pobliżu jednak nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo, więc się zdecydowałem. Powiedziałem Miedwiediewowi, by w razie czego posłał po mnie Kananoka, który już zna miejsce. Miedwiediew rzucił skąpe „w porządku”, a ja ruszyłem ku mostkowi.

Nie zdążyłem nawet ująć szerokiej metalowej klamki u drzwi, gdy te się otworzyły i w półmroku ujrzałem zmieszaną Franię. Czekala na mnie. Tym razem nie miała na sobie fartuszka, była w kusej szarej bluzce wypuszczonej na czarne i wąskie porcięta. Wyglądała bardzo powabnie i uśmiechała się do mnie zawstydzonym, zapraszającym uśmiechem.

– Kapitulacja, Franiu!

– Naprawdę? O mój Boże...

– Jeszcze nie oficjalnie. Ale wkrótce ogłoszą.

– Naprawdę się doczekaliśmy? Czy to aby na pewno prawda? – cieszyła się jak dziecko. – Trzeba powiedzieć starym.

Pobiegła gdzieś z sieni, a ja zostałem przy stoliku zasłanym obrusem w kwiaty, na którym stał porcelanowy wazonik z trzema tulipanami. Trochę mnie zastanowiło, co oznaczał ten jej pośpiech, żeby zawiadomić gospodarzy. Wynikał z prawdziwej wdzięczności czy z dobrze wytrenowanego poczucia obowiązku? Wciąż nie wiedziałem co o tym sądzić, gdy przez otwarte drzwi wszedł do sieni wysoki, stary profesor ze swoją frau. Za nimi wskoczyła ożywiona Frania. Profesor odsapnął trochę po najwyraźniej zbyt długim marszu i głuchym głosem wypowiedział jakąś zawiłą frazę. Frania przetłumaczyła bez zwłoki.

– Doktor Scharf winszuje panu oficerowi z okazji zakończenia wojny i dziękuje za wyzwolenie od faszyzmu.

– Proszę bardzo – przytaknąłem wielkodusznie. – Życie w pokoju.

Doktor uważnie wysłuchał tłumaczenia Frania i jakiś czas milczał. Widać było, że mówienie czy też formułowanie myśli przychodziło mu z trudem. Frania tłumaczyła:

– On mówi: starzy są szczęśliwi, że doczekali końca wojny. A młodzi teraz sami muszą ułożyć przyszłość Europy. Ważne, żeby się nie pomylić.

– Jakoś damy radę. Nie pomylimy się. Jak do tej pory się nie myliliśmy i zwyciężyliśmy – odpowiedziałem pewny siebie i od razu poczułem, że przesadziłem: nie należało mówić tego tak kategorycznie. Frania przetłumaczyła odpowiedź.

– Doktor Scharf mówi: zwycięstwo w wojnie to jeszcze nie wszystko.

– A jeszcze co?

– Po ciężkiej wojnie musi przyjść ciężki pokój – przetłumaczyła Frania cicho, jak gdyby z czymś się nie zgadzając.

Nie bardzo rozumiałem, co ten stary Austriak miał na myśli. Może i racja, może rzeczywiście pokój będzie ciężki. Ale na pewno nie cięższy, niż ta wojna.

– On mówi: Rosjanie muszą zrozumieć, że faszyzm i komunizm to dwa końce tego samego kija.

Takie rozumowanie słyszałem po raz pierwszy. Wydało mi się dosyć osobliwe – jak można było mierzyć Rosję i Niemcy jedną miarą? U nas nawet po pijanemu nikt nie rozumował w taki sposób, za takie słowa można się było znaleźć wśród białych niedźwiedzi. Nawet nie śmieliśmy tak myśleć. Zresztą, nie było potrzeby – walczyliśmy przeciw z faszystowskimi Niemcami o wolność swojego kraju. Co to miało wspólnego z dwoma końcami jednego kija?

Milczałem zbity z pantofelki. Wyczuwając chyba moje zakłopotanie gospodarz jeszcze przez chwilę się zastanawiał, a potem krótko kiwnął na pożegnanie i skierował się do wyjścia.

– Zaczekaj chwileczkę – cichutko rzuciła mi Frania, wychodząc za starymi.

Nie chciało mi się siadać, więc podszedłem do okna. To jasne, po zwycięstwie nastanie pokój, ale jakoś nie chciało mi się myśleć o dalszym życiu, teraz wszystkie myśli krążyły wokół zwycięstwa. Tego, które nareszcie osiągnęliśmy, o którym tyle marzyliśmy w trudnych chwilach małych i wielkich porażek. W takich chwilach zwycięstwo wydawało nam się drwiną, oszukańczą, pustą obietnicą. Dla wielu pozostało nią na zawsze – oni już nigdy nie poznają smaku zwycięstwa. Inni go doczekali i być może skosztują jego owoców.

Przez wąskie okno z wysokim parapetem, które przypominało okna w kościele, niewiele mogłem zobaczyć, a przecież musiałem mieć na oku swoje armaty. Powiedziałem o tym Frani, gdy wróciła biegiem do sieni. To dziwne, jak w ciągu pół dnia zmienił się jej nastrój – była teraz żwawa, niemal beztroska. Lekka i śmigła, upodobniła się do psotnej uczennicy.

– Chodźmy – powiedziała i przez boczne drzwi poprowadziła mnie dokądś po skrzypiących i krętych schodach. „Na strych czy jak?” – pomyślałem idąc za nią. Ale to nie był strych, lecz jasno oświetlona i wąska wieżyczka, która z oddali wyglądała jak ładna szklanka na dachu.

– Stąd wszystko widać.

Widok z tej wysokości był naprawdę wspaniały: niemal połowa rozwalonego wybuchami miasteczka, droga do zakrętu, zasnuła dymem tartaczne podwórze ze stosami kłód i desek, moje armaty – jedna bezpośrednio za rzeczułką, druga po drugiej stronie tartaku. Naprzeciwko, za drogą, rozciągał się szeroki górski stok, porośnięty młodym sośniakiem w dole i wysokim sosnowym lasem powyżej. Po drugiej stronie niewiele było widać – stromy spad dachówki i wierzchołki potężnych drzew, za którymi piętrzyła się naga skała góry. W ciasnej, podobnej do szklanki wieżyczce stała lekka kanapa i czerniał otwarty właz, przez który tu weszliśmy. Gniazdko było przytulne i moje serce zabiło żywiej. Pomyślałem sobie, że Franja przyprowadziła mnie tu nie bez powodu, ale żeby zapewnić nam więcej intymności. Dlatego też dziewczę stało mi się jeszcze bliższe.

– A tam masz swoich żołnierzy – pokazała Franja.

Obejrzałem z góry swoje pozycje – nic szczególnego. Żołnierze siedzieli na łóżach dział, pewnie rozmawiali o poko-

ju, którego wreszcie doczekali – czyż to nie powód do radości? Każdy już się dostrajał do myśli o domu, gospodarstwie i życiu po wojnie. To było zrozumiałe. Młodszy marzyli o nauce i miłości, o swoim miejscu w życiu i przeznaczonym każdemu szczęściu. Teraz to wszystko stało się możliwe. Zasłużyliśmy na to, zwyciężając w tej strasznej wojnie. Przyszłość zależała już nie od wojny, a od każdego z osobna. To było szczęście.

Usiadłem na wygodnej białej kanapie. Frania stała naprzeciwko, przy szerokich, oszklonych drobnymi szybami oknach.

– Podałam leki doktorowi Szarfowi. Źle się czuje. Jest bardzo przestraszony.

– Przestraszony przez kogo?

– Przez niemieckich nazistów, a także przez naszych.

– Przez naszych? A kiedyż to nasi zdążyli go przestraszyć? – zdumiałem się. Wydawało mi się, że Frani coś się pomyliło.

– Nic nie wiesz. Może nie powinnam tego mówić...

– Nie bój się. Ja mu nic złego nie zrobię.

– Wierzę, że nie zrobisz. Nie jesteś taki jak... Wczorajszej nocy nie spaliśmy do rana...

– Nie spaliście?

– No. Kiedy się ściemniło, przyjechali wasi. Powiedzieli, że z oddziału specjalnego. Mnie przepędzili do sieni, a sami przesłuchiwali doktora aż do czwartej nad ranem.

– O! Ale dlaczego?

– A kto ich tam wie. Doktor Scharf nic mi nie powiedział. Frau Sabina płakała...

– No a ty? Ciebie o coś pytali?

– Kazali mi podpisać papierek, że będę milczeć.

– O!

To znacznie gorzej. Wiedziałem już, że tam, gdzie włązili ci z oddziału specjalnego, nic dobrego zdarzyć się nie może. Ale to u nas, w wojsku, na tyłach. Co to miało wspólnego z Austriakami? Co to miało wspólnego z Franią? Do czego im ona? Czym się naraziła? Może im przeszkadzała w jakiejś ciemnej sprawie?

Sam siebie uspokajałem myślą, że na to należało być przygotowanym. Ci mołojcy mieli swoje specyficzne obowiązki, niezrozumiałe dla zwykłych ludzi. Przede wszystkim szukali wrogów. Ale czy ten stary profesor biologii też był wrogiem? Szpiegiem? Dywersantem? A może to oni werbują szpiegów? Co w takim razie miała robić Frania?

– Czy doktor Scharf jest faszystą?

– Coś ty! On strasznie nie lubi faszystów! W Hanowerze zdarzało się, że gdy bieглиśmy do schronu, kłął ich bardzo szpetnie. Dokoła wszystko gruchotało, nikt niczego nie słyszał...

– Gdy nikt nie słyszy, to można i skłąć – powiedziałem.

– A ty usiądź tu obok, koło mnie.

Frانيا niezdecydowanie przysiadła w rogu kanapy. Jej wesoły nastrój znowu opadał, na twarzy malowało się wyraźne zafrasowanie. Pochłonęły ją dawne przeżycia. Ja byłem usposobiony inaczej, ale moja radość także przygasła. Frania tymczasem zaczęła opowiadać.

– Bombardowali każdej nocy. Alarmy trwały od wieczora do rana. W mieście istne piekło, wszystko się paliło i waliło. Niemcy chowali się w schronach. Zdarzało się, że i schrony się zawałyły i wszyscy ginęli. Jak tylko się zaczynało, od razu bieглиśmy do piwnicy. Miałam tam wszystko przygotowane, termos, koce. Siedzieliśmy, gospodarze się modlili. Ja też, jak umiałam.

– A co im, mieli przecież własny dom!

– Nie mieli, mieszkali w dużym bloku. Co prawda, mieszkanie nie było małe, a ja byłam jedyną pokojówką. I kucharką. Roboty co niemiara. Ale się starałam. Z początku przyglądali mi się, co potrafię. Rzeczywiście, potrafiłam niewiele. Ale się uczyłam. Trzeba było dogadzać. Mama tak zawsze mówiła. Jeśli zrobiłam coś nie tak, to nie łajali, nie karali, jak niektórzy. Uczyli. Frau Sabina spokojnie wyjaśniała, pokazywała. Czy to ja kiedy w domu czyściłam klamki u drzwi? Nawet ich nie mieliśmy, takich błyszczących. Najpierw mi o tym powiedzieli, pokazali. A potem to już sama się starałam. Żeby było czysto i ładnie. W domu nigdy tak nie było.

Frania siedziała na ciasnej kanapie blisko mnie, ale ja podsunąłem się jeszcze bliżej, ona się nie odsunęła. Przechwyciła tylko moje swawolne dłonie swoimi, mocniutko je ścisnęła i położyła na kolanach.

– Więc byłaś u nich służącą? – zapytałem ze skrytym wyrzutem.

– No oczywiście. Po to mnie właśnie wzięli. Ale różne bywają służące i różni państwo. W Hanowerze, przez ulicę, mieszkała Kława, też ostarbajterka. Ona każdego dnia płakała przez tę swoją panią. Zginęła podczas bombardowania. Gotowała mleko, kiedy był nalot, trzeba było zacczekać parę minut, żeby mleko dla małego zakipiało. Spóźniła się do schronu, no i zasypało ją. I małego też. A jego matka ocalała. Dała radę zleźć z szóstego piętra na dół. Kiedy nasz dom się rozwalił, wyleźliśmy na ulicę z pustym termosem i jednym kocem. Nie mieliśmy zupełnie nic – ani domu, ani mienia. Co robić? Inni ratowaliby tylko swoją skórę, a moi państwo beze mnie ani rusz. Przez jakiś czas

mieszkaliśmy razem w jakimś biurze, potem w żołnierskim baraku. Potem przyszły dokumenty z Austrii i państwo wyjechali. Mnie też zabrali. Pieniądzy nie zostało prawie nic, frau zastawiła w banku swoje kolczyki i broszkę. Tutaj, co prawda, otrzymali spadek.

– No dobrze – powiedziałem. – A język? Gdzie się tak nauczyłaś po niemiecku? W szkole?

– Trochę w szkole. Ale najwięcej tutaj. Byłam zdolna, umiałam słuchać. Mam dobry słuch. A do tego frau Sabina trochę rozumie po polsku.

– A ty też mówisz po polsku?

– Aha, trochę umiem. Mama była katoliczką, można poznać po moim imieniu. U nas katolicy, chociaż są Białorusinami, rozumieją po polsku. Posiedź tu – Frania puściła moje ręce. – Zaraz wrócę.

Zniknęła w półmroku włazu, usłyszałem miękki stukot jej obcasów po drewnianych stopniach, gdzieś w dole cicho trzasnęły drzwi.

Wstałem z kanapy, obejrzałem przez szybki miasteczkowy krajobraz. Zza węgła na wpół zburzonego domu, przed którym tak haniebnie upadłem z roweru, ukazał się i przemknął po drodze zdobywczy chorch naszego „smiersza”. „A ten tu czego się pałęta?” – pomyślałem ze złością. Wojna się kończy, a oni nie ustają, wciąż czegoś szukają, wciąż węższą, pewnie znowu coś szykują. O siebie byłem na ogół spokojny, wielkich grzechów nie miałem. Nie żyłem na okupowanym terytorium, z charkowskiego kotła wyszedłem nie sam, a z grupą i to „przestępstwo” zostało już dokładnie przebadane przez „smiersza” i chyba odłożone do archiwum. Pewnie tak samo myślał i dowódca plutonu Leźniewski, którego „smiersz” dopadł miesiąc temu. Przy wy-

pitce Leźniewski pozwolił sobie na dywagacje na temat „niesprawiedliwości” w stosunku do żołnierzy, którzy trafili w okrażenie. Po odbiciu z okrażenia wszystkich co do jednego kierowano do batalionów karnych. Za tę uwagę Leźniewski sam trafił do batalionu karnego i nikt z nas więcej go nie widział.

Nad miasteczkiem zapadał zmrok, góry powoli pograżały się w cieniu i tylko ośnieżone wierzchołki w oddali błyszczały odbitym słonecznym blaskiem. Na tle błękitnego wieczornego nieba ten blask stawał się nadzwyczaj intensywny, nabierał mocy przed nocą. Jak dobrze byłoby tu posiedzieć z ukochaną dziewczyną do nocy, a także i w nocy. Słuchać jej głosu, czuć jej dotyk i – kochać ją. Gdyby nie wojna. Ale gdyby nie wojna, to gdzie bym ją spotkał? Dziwne, ale to właśnie wojna skrzyżowała nasze drogi, tutaj, z dala od ojczyzny, wśród tych alpejskich wspaniałości. Żeby tylko nas nie rozłączyła, przemknęła mi nagle myśl.

Frania wróciła do wieżyczki niemal bezszelestnie, niosąc coś w rękach. Rozerwała opakowanie i postawiła na kanapie niewielką torebkę.

– Często się, Micia. Takie same jak nasze przed wojną.

To były cukierki, znane mi z dzieciństwa „poduszeczki”. Nie wyglądały zbyt świeżo, niektóre się pozlepiały i Frania częstowała mnie odrywając je po jednym. Mimo że cukierki wyglądały nieapetycznie, były słodkie i pachnące jak w dzieciństwie.

– Sto gramów za czterdzieści kopiejek. Pamiętasz?

– Pamiętam – odpowiedziałem. – Biegaliśmy na przerie do sklepu w naszej wsi.

– A jeszcze były iryski...

– A ty skąd jesteś? – zapytałem ją.

– Z Mińska. Tam się urodziłam.

– Długo tam nie byłaś?

– W Mińsku długo. Z Mińska najpierw przeprowadziłam się do Czerwienia, a już stamtąd przyjechałam do Niemiec. Tutaj, gdyby mi się nie poszczęściło, zginęłabym. Jak zginęły moje dziewczęta.

– Gdzie zginęły?

– Na fabrykach chemicznych w zagłębiu Ruhry. Zatrwały się i zginęły. Wszystkie cztery z Czerwienia.

– A ty?

– Wiesz, to pewnie taki już mój los. A może przypadek. Gdy przyjechałyśmy do jakiegoś miasteczka koło Hanoweru, zaczęli nas rozdzielać. Postawili w szeregu, potem przyszli jacyś w mundurach i po cywilnemu, niewiele wtedy rozumialiśmy, kto to był i dlaczego. No i zaczęli nas przebierać, którą dokąd mają posłać. Ale najpierw przyszli wojskowi, jak się potem okazało, oficerowie z Wehrmachtu. Byli na urlopiach z frontu i pozwolono im wybrać służbę dla swoich rodzin. Ja byłam najmniejsza, wychudzona w czasie podróży, biednie ubrana. Stoję, ledwie zipię... Przedtem trzy noce nie spałyśmy, gdy nas ciągnęli po stacjach. Byłyśmy wygłodniałe. A oni sobie idą, tacy syci, zdrowi buhaje, dwaj w mundurach esesmanów, a trzeci to oficer Wehrmachtu, młody chłopak, czołgista. Tamci wzięli dziewczyny co zdrowsze, no, roślejsze, silniejsze. A ten młodzieńki porucznik Wehrmachtu przeszedł się wzdłuż szeregu i pewnie już mu nie zostało silniejszych. Wtedy się wrócił i mówi do mnie „kom”. Ledwie nie zemdlałam, gdy spojrział na mnie swoim zimnym wzrokiem, a i głos miał taki typowo żołnierski, jak na musztrze. Wystąpiłam. Wypisali mi papiery do tej właśnie rodziny doktora Scharfa. A tam-

ten oficer był ich synem Kurtem. W domu okazał się nie taki straszny, jak tam wyglądał – był uprzejmy i cichy. I bardzo smutny. Po dwóch dniach pojechał na front, a po dwóch tygodniach zginął w czołgu. Tak naprawdę to jemu zawdzięczam swój ratunek. Gdyby nie on, to i ja bym się otruli na tej chemii.

– Ale historia! – byłem pod wrażeniem jej opowieści. – Chyba ci się udało.

Frania zachmurzyła się i przez chwilę siedziała wyprostowana, opuściwszy na kolana cienkie ręce o ostrych łokciach.

– Udało się chyba tylko mnie. Cały czas się boję, żeby nie stało się jakieś nieszczęście. Bo szczęście bywa zmienne. To tylko nieszczęście dopada człowieka na zawsze. Każdego dnia się boję, że może mnie spotkać coś złego. No, pytam siebie, czyżby i dzisiaj miało ci się udać?

– Teraz już możesz przestać się bać. Wojna się skończy, wrócisz do domu. A może masz inne plany? – zapytałem i zamarłem w oczekiwaniu na jej odpowiedź. Frania westchnęła.

– Kto by nie chciał do domu. Ale co w domu? Żeby choć mieć ten dom. I koleżanek z klasy już nie ma. Jak żyć wśród obcych? Tu obcy i tam obcy...

Z pewnością znajdą się nowi znajomi, może nawet przyjaciele, wiedziałem to z własnego doświadczenia. Ale rówieśników z klasy, przyjaciół dzieciństwa, już chyba nie będzie. To zostanie odcięte raz na zawsze. Pewnie źle jest żyć bez wspomnień dzieciństwa? Sam o tym jakoś nie myślałem. Frania, okazuje się, myślała...

Rozmawiając ze sobą, nie zauważyliśmy nawet, jak skończyliśmy całą torebkę cukierków. Podsunąłem się jeszcze bliżej, a Frania się nie odsunęła – już nie miała dokąd.

– Biedna dziewczynka – mimowolnie wyrwało mi się z głębi serca. Nieoczekiwanie dla samego siebie pocałowałem ją w policzek. Frania na chwilę zamarła i nagle całym jej ciałem wstrząsnął niezrozumiały, bezgłośny szloch.

– Przestań, proszę! Proszę! – mówiłem na wpół przerażony, nie przestając całować jej mokrej od łez twarzy. Nie broniła się, nie unikała moich ust. Stopniowo, bardzo powoli uspokajała się. Raptem uśmiechnęła się bezradnie przez łzy.

– Wybacz mi...

– To nic, to nic...

Pocałowałem ją jeszcze raz, żeby jakoś ukoić jej żal i pocałować głębię swojego uczucia.

– Już ze sto lat... Już ze sto lat nie płakałam. Wiesz, tu mnie traktują dobrze, ale nie mogę im się poskarżyć na swój los. Albo się wyplakać. Od dwóch lat jestem taka samotna. Dusza mi już zwiędła, a tu nagle ty. To w końcu musiało nastąpić... Wybacz, Micia.

– Rozumiem. Już dobrze, uspokój się...

Powoli się uspokoiła, przyglądała dłonią swoje włosy. Poczulem, że stała mi się jeszcze bliższa i bardziej pożądana.

– To w końcu musiało nastąpić! – wciąż nie mogła się nadziwić Frania. – Moja biedna mamusia! Gdybyż dożyła tej chwili. Wciąż wybierała mi chłopaków, była taka wybredna. Jeśli się z kimś przejdę, to zaraz mówiła: ten ma za długie nogi, tamten za krótkie, a jeszcze tamten tak śmiesznie pociąga nosem. Ten niczym się nie wyróżnia, a tamten nie należy do Komsomołu. Ty chyba jesteś członkiem partii?

– Jeszcze nie – zmieszałem się. – Ale jestem komсомоlcem. A twoja mama była partyjna?

– A jakże inaczej!

– A ojciec?

– A ojciec to wróg ludu. Posadzili go w trzydziestym ósmym i przepadł. Mama potem się go wyrzekła. Powiedziała mi w tajemnicy, że to dla naszego ocalenia. Wtedy wielu tak robiło. To całkiem zrozumiałe: była jeszcze młoda i ładna. Ale i tak się nie uratowała – zagubiła swoje życie.

– A twój ojciec był jakimś kierownikiem?

– Ojciec... – Frania ociągała się z odpowiedzią, widocznie trudno jej było mówić o ojcu. – Ojciec pracował w organach. Od samej rewolucji. Siedział w jednym więzieniu z Dzierżyńskim.

– Nie mów!

– No. To właśnie Dzierżyński skierował go do Mińska. Pracował w dzień i w nocy, rzadko go widywałyśmy. Tylko raz miał wolne czy może jakieś święto, dokładnie nie pamiętam. Pojechaliśmy wtedy nad rzekę łowić ryby. Co prawda łowił tylko tato, mama zbierała kwiaty na łące, a ja biegałam po płyciznie, ganiałam małe rybki. Bawiłam się z nimi. To mi się oczywiście podobało, bo byłam mała. Potem ciągle prosiłam ojca, żebyśmy jeszcze raz pojechali. Obiecał mi, ale wciąż nie wychodziło. Później i później. A pewnego razu powiedział: dzisiaj nie idę do pracy. Usiadł na łóżku i siedzi. Taki smutny. Zaczęłam nudzić: jedźmy nad rzekę. Przesiedział tak do nocy, a nocą go wzięli. Już więcej nie zobaczyłam tamtej rzeki.

Szary półmrok otulił wieżę i wszystko dokoła. Nie było już widać ani miasteczka, ani gór, ani drogi. Nie było też widać moich stanowisk. Miasteczko tonęło w mrocznej mgłę, jedynie ponad ruinami snuły się białe pasma dymów z pogorzeliisk.

– Ja swoich też nie widziałem od czterdziestego pierwszego. Nie wiem nawet, czy żyją – powiedziałem współczując jej strapieniu.

– Mamę Niemcy powiesili. W Mińsku. Kiedy partyzanci podłożyli minę pod ich gaulajtera, to Niemcy zaczęli aresztować tych z podziemia. No i wzięli także moją mamę. Powiesili ją na miejskim skwerze.

– A co było z tobą?

– Ze mną? Kiepsko było. Mieszkałyśmy z mamą na osiedlu Hruszau, potem zostałam sama. Właścicielka mieszkania, co prawda, nie była złą kobietą. Ale miała troje dzieci i została bez męża. Nie było nic do jedzenia. Przywiozła ze wsi worek ziemniaków, ale szybko go zjedliśmy. Sprzedaliśmy co tylko było można. Sprzedałam ostatnie włóczkowe rękawice, które mama zrobiła przed wojną. Może jakoś dałybyśmy radę i dalej, ale jak na nieszczęście, do sąsiadów dokwaterowano dwóch policajów. No i jeden z nich, Winceś, zaczął do nas zaglądać. Taki pijanica, brzydki i ordynarny, nie było przed nim żadnego ratunku. Przyłaził, siedział do północy, bełkotał nie wiadomo co. Albo zaczynał się przystawiać. Zbywałam go jak tylko potrafiłam, gospodyni też się starała, ale nic nie pomagało. Zakochałem się, powiada.

– No oczywiście, taka ładna dziewczyna...

– Żadna tam ładna. To dopiero teraz trochę, a wtedy byłam jak brzydkie kaczątko.

– No dobrze, dobrze – powiedziałem z nutką zazdrości.

– Nie musisz być taka skromna.

– Wcale nie jestem. A wtedy... Wtedy ciotka Maria powiada: odwożę cię do wujka na wieś. On ma jedną córkę, w twoim wieku, będziecie tam razem. Dopóki zima się nie

skończy. A dalej zobaczymy, może i wojna ustanie. Pewnego razu w niedzielę pojechaliśmy saniami, daleko, aż do Czerwienia, a potem jeszcze ze sześć kilometrów, przyjechaliśmy późno w nocy, postukałyśmy w okno. Gospodarz nas wpuścił, moja gospodyni zaczęła mi tłumaczyć, potem prosić. Ja to wszystko słyszałam... Jakoś go uprosiła, na drugi dzień wyjechała. A ja zostałam. Nieznajoma, obca u obcych ludzi. Zośka rzeczywiście była prawie moją rówieśnicą, miała szesnaście lat. Z nią jakoś mi się ułożyło, dziewczyna była niczego sobie, nie miała złego charakteru. Ale była ograniczona, że aż strach. Przed wojną ukończyła szóstą klasę, a do chłopaków ją ciągnęło jak magnesem. Tak dotrwałyśmy do wiosny. A wiosną w okolicy zawrzało – przyszli partyzanci. Zaczęli przychodzić do naszej wsi, nawiązywać kontakty. No i niektórych chłopaków zaagitowali, a razem z nimi i dziewczęta. Zośka została, ojciec nie puścił. A mnie nikt nie zabraniał, więc pobiegłam za innymi dziewczynami. Zaczęło się leśne życie. Oddział miał nazwę „Bolszewik”, dowódca oddziału, były pogranicznik, nazywał się Sokał. Po jakichś trzech dniach postawili mnie na wartę, na skraju lasu koło kładki, dali karabin, postraszyli odpowiedzialnością. Stoję w nocy, boję się. A tu jeszcze przychodzi dowódca warty, też pogranicznik, na kontrolę. Skontrolował, wszystko mu powiedziałam prawidłowo, ale on ani myśli wracać z powrotem. Gadka szmatka, a ja widzę, że zaczyna ze mną w zupełnie świński sposób. Co mam robić? Krzyżeć czy jak? Krzyżeć nie można. Tamtego razu jakoś się wykręciłam, powiedziałam, że się poskarżę komisarzowi. Odczepił się. Wiadomo, na skargę do nikogo nie poszłam, więc za niedługo wszystko zaczęło się od nowa. I to z kim – z samym dowódcą oddziału. Nie mo-

zesz przecież odmówić, kiedy ci rozkazuje, gdzie masz iść. Idę, a on z adiutantami za mną. Wracam, a on do mnie: dlaczego nie wykonujesz rozkazu? Za niewykonanie rozkazu rozstrzelanie na miejscu. Po marszu kładziemy się zmęczone na jakichś sosnowych gałęziach, od razu spać. A on nocą przystawia się no i... Jak nie wrzasnę! Wtedy zaczyna kłąć: dlaczego demaskujesz grupę? Za zdemaskowanie grupy rozstrzelanie. To nie byli tacy partyzanci jak inni, potem dowiedziałam się, że to był oddział o specjalnym przeznaczeniu. Wciąż chodzili na marsze. Naszym celem był Mińsk, tam posyłali dziewczęta, stamtąd do nas przychodzili. Ale najwięcej to posyłali. Wracali stamtąd mniej. Nie wróciła Tonia Bystrowa, Wala i śmieszka Żenia, były takie dziewczyny. Wszystkie były komsomołkami. Ja też byłam komsomołką. A naszymi dowódcami byli chłopcy albo mężczyźni już w starszym wieku. Oni nigdzie nie chodzili, tylko nas pilnowali. Żeby nie daj Boże bez ich wiedzy nikt niczego nie zrobił. I lubili sobie skorzystać z dziewcząt... Zastępca dowódcy Koszelnikow powiedział: jak można żyć koło studni i nie napić się wody? Taki mordasty truteń. Gdy nie wróciła Żenia, moja przyjaciółka, też minczanka, mieszkała przed wojną w Kałodziszczach, zawołali do szalasu mnie. Ten Sokał mi mówi: masz za zadanie dostać się do Mińska i zorganizować lokal konspiracyjny. Będziesz go obsługiwać. A gdzie go mam organizować? A chociażby u swojej gospodyni, gdzie mieszkałaś. Na samo wspomnienie ciotki Marii i jej trójki małych dzieci zrobiło mi się niedobrze. Przez taki lokal konspiracyjny wpadła moja mama. Poszła na spotkanie do Śleśni i tam ją wzięli. Może ktoś zdradził. I powiesili. Gospodarza i wszystkich z jego rodziny – razem sześć osób. I co ja mam robić? Nie mogę od-

mówić, bo za odmowę grozi oczywiście rozstrzelanie. Ale próbuję, mówię mu: tam przecież małe dzieci. A on mi na to: aha, żal ci dzieci? A sowiecką ojczyznę to masz gdzieś? Mówię mu: gospodyni mnie nie posłucha. A on: jak nie z gospodynią, to z policajami się skumasz, oni są łąsi na takie łądniutki, sama wiesz. Robi mi niby taką aluzję. Wstręt mnie ogarnął, zniechęciłam go już przedtem, ale nie wiem, co mam robić. Jednak tego dnia mnie nie posłali, grupa zmieniała dyslokację, obchodziliśmy lasami Czerwień. Odeszłam trochę w bok, w brzezinkę, rzuciłam karabin w trawę i – do swojej wsi. Stamtąd było niedaleko. A w sąsiedniej wsi stał już garnizon policji. Mało kto wiedział, że poszłam do partyzantki. Myśleli, skoro jestem z Mińska, to pewnie wyjechałam do Mińska. A i w tej partyzantce byłam może z miesiąc, nie dłużej. Razem z Zośką poszliśmy suszyć siano na błota. Latem było całkiem niezłe, dojrzały jagody. Nazgrabialiśmy ze sześć kop i pod wieczór zbieramy się do domu, aż tu biegiem przylatuje mama Zośki i powiada: przyjeżdżali dwaj na koniach, ciebie szukali. Wszystko przewrócili w domu i stodole, nie wracaj, schowaj się. Więc razem z Zośką zaszyliśmy się w stogu siana. Przesiedzieliśmy na tych błotach tydzień, ciotka przynosiła chleb i mleko, jadałyśmy jagody. Ale potem nastąpiły deszcze. Zośka się uparła: chcę, powiada, do domu. I poszła sobie, a ja jeszcze zostałam przez kilka dni. Ale sama długo nie wytrzymałam, wróciłam do wsi i parę nocy przespałam w suszarni na zboże. Właśnie wtedy ogłosili nabór do Niemiec i Zośka dostała skierowanie. A Zośka nie chciała. Ojciec pobiegł prosić do starosty, do policajów, wiadomo – jedynaczka. A pewnego dnia po wieczery powiada do mnie: Franiu, a może byś poszła zamiast Zośki?

Tobie wszystko jedno, sama jesteś, co cię tu trzyma? Jak nawet coś się stanie, nie będzie komu płakać. Tyś sierota. A do tego rozumniejsza od tej głupiej Zośki. No cóż, myślę, kiedy inaczej nie można, to pójdę. I poszłam, za siebie czy za Zośkę – nie myślałam o tym. Wsadzili mnie do pociągu z takimi samymi nieudacznicami jak ja i powieźli do Niemiec. Wycierpiałam się i wymęczyłam co niemiara, zanim wpadłam w oko Kurtowi. Ty mi tu mówisz: jesteś ładna. Ludzie też mi to mówili. A wiesz, jak przeklinałam tę swoją ładną buzię, ile przez nią wycierpiałam. Myślałam, że lepiej byłoby mi się urodzić jakąś niedorajdą, wtedy może byłabym szczęśliwsza. A tak... Do tego charakter mam taki, delikatny, chcę dobroci.

– Jaka tam dobroć w czasie wojny? Tu można zamienić się w zwierzę – powiedziałem.

– To prawda. Ale jednak jest i dobroć. Przypomina mi się moja gospodyni z Hruszawa. A i ludzie na Czerwieńszczyźnie...

– No a tu, w Niemczech?

– W Niemczech też. Więcej wśród starszych, których faszyzm nie zdążył przeinaczyć.

– A ty sama jesteś dobra? – zapytałem i umilkłem, czekając na odpowiedź.

– Chyba nie. Jestem przecież stamtąd, gdzie religią było okrucieństwo i nietolerancja. To już w nas siedzi. Wiem, że to jest złe, ale co zrobić? Pewnie natura jest silniejsza od rozumu. Na przykład, nie mogę się przyzwyczaić do patrzenia prawdzie prosto w oczy. Szczególnie, kiedy to gorzka prawda. Wciąż chce mi się słodkich kłamstw.

– To rozumiałe. Słodkie jest zawsze przyjemniejsze.

– Rzecz w tym, że w piękne kłamstwo bardzo łatwo uwierzyć. Ono samo wchodzi do duszy. Powiedziałeś mi, że

jestem ładna i już się cała roztopiłam. Za to jedno jestem gotowa cię pokochać.

– Naprawdę?

– No – powiedziała po prostu, tak jak kiedyś mówiono u nas. Roześmiała się cichutko i przytuliła do mnie.

– Powiedziałem tak bez wyrachowania. Jesteś naprawdę ładna.

– Kiedy w pobliżu nie ma ładniejszej – zakończyła figlarnie.

– A do tego jesteś taka mądra.

– Co to, to nie. Może byłabym mądra, gdybym była szczęśliwa. Nieszczęśliwa dziewczyna nie jest mądra. To chłopcy uczą się na nieszczęściu. A dziewczynę nieszczęście zjada. I jej rozum, i urodę.

– Po co dziewczynie rozum, kiedy ma urodę? – zapytałem ją trochę żartobliwie.

– No wiesz, rozum to jednak pojęcie względne. Gdzieś czytałam, że aby zmądrzeć, najpierw trzeba poczuć się głupim. A tak w ogóle rozum w człowieku nie jest najważniejszy. Rozumny może być i przestępca. Rozumny dla samego siebie.

– A co jest najważniejsze?

– Człowieczeństwo. To, co pochodzi od Boga, a nie od diabła. Czy może od małpy, jak pisali darwiniści. Jednak mamy w sobie bardzo mało boskiego. Albo jeszcze nie zdążyliśmy do tego dojść, albo bolszewicy nam to zabrali. Oddzielili ludzi od Boga.

– Czyżby Niemcy mieli więcej... tego boskiego?

– Myślę, że więcej. W końcu żyli z Bogiem dłużej. A poza tym poszukiwali Boga. Protestanci na przykład. Potrzebowali go, jak mówił doktor Scharf. A myśmy swojego nie znaleźli.

– Nawet jeśli oni są z Bogiem, to myśmy ich jednak zwyciężyli.

– Zwyciężyć pewnie można – powiedziała Frania po chwili zastanowienia. – Ale czy można żyć bez Boga? Żaden naród, nawet najbardziej zacofany, nie żyje bez Boga. Bez Boga taki naród po prostu pożre sam siebie. Zwłaszcza jeśli jest to naród prymitywny.

– My przecież nie jesteśmy prymitywni, a żyjemy bez Boga. I nic. Jakoś do tej pory żeśmy się nie pożarli.

Frانيا milczała przez chwilę, bijąc się z myślami, potem rzekła przyciszonym głosem:

– Ale żarliśmy się z dość dużym powodzeniem. Czy walka klasowa to nie ludożerstwo? Ratuje nas chyba tylko to, że jest nas tak dużo. Nie można się pozjadać tak szybko.

Nie przeczyłem, wewnątrznie gotów byłem się z nią nawet zgodzić. Odczułem, że jest mądrzejsza ode mnie, chociaż niezbyt przyjemnie było mi się do tego przyznać przed sobą. W końcu nie uważałem się za głupiego – coś tam przecież rozumiałem z życia, coś tam zapamiętałem ze szkolnej historii, przeczytałem parę książek. W rozmowach z takimi jak ja nie byłem głupszy od nich. Tylko że o czym były te rozmowy? O naszej przeklętej wojnie, niesprawiedliwych dowódcach. O artylerii i niemieckich czołgach, o tym, jak je unieszkodliwiać. O życiu na ogół nie rozmawialiśmy, może dlatego, żeśmy go jeszcze nie mieli. Nie zdążyliśmy go mieć w naszej króciutkiej przeszłości, a na przyszłość nikt sobie nie robił większych nadziei. Często nie wiedzieliśmy, czy doczekamy wieczora, jak więc w takich warunkach myśleć o Bogu. A ona myślała. Nie znałem dziewcząt. Duchowo dojrzewają pewnie inaczej niż chłopcy. W końcu to one rodzą się nie dla woj-

ny, lecz dla życia. Dla chłopaków życie to zawsze problem. Z Bogiem czy bez.

To, co usłyszałem, zrobiło na mnie wrażenie nie tylko ze względu na sposób, w jaki to opowiedziała. Było w tym coś, co sprawiło mi przykrość – ta jej cała partyzantka w oddziale o specjalnym przeznaczeniu. Pomyślałem sobie, że tak szczerze może opowiadać tylko bardzo ufna dusza. Wiedziałem już, na jakich chamów i bydlaków można się natknąć wśród naszej wojskowej braci, miałem już pojęcie o dowódcach, którzy w wojsku nauczyli się wojować cudzymi rękami. Kosztem życia innych. W partyzantce tym bardziej. W partyzantce – opowiadali ci, co tam byli – dla dowódców był raj – mogli robić co chcieli. Najwyższe dowództwo daleko, bo aż w Moskwie, przez radio można było wcisnąć każdy kit – nie przyjadą przecież i nie sprawdzą. Więc gromadzili bohaterskie wyczyny z takimi oto dziewczątkami, które pojedynczo i tuzinami rzucali wojnie na pożarcie. Nowych zawsze wystarczało – one kochały ojczyznę i leciały na wojnę jak ćmy do światła.

– A wiesz, ja też nie za bardzo interesowałam się Bogiem – powiedziała Frania. – Wychowywano mnie przecież na wojującą ateistkę. Do czasu, kiedy tu, w Niemczech, nie poszłam na mszę. Jak usłyszałam organy i śpiew Ave Maria, wszystko się we mnie przestawiło. Zrozumiałam od razu i na zawsze, że Bóg jest. Jego po prostu nie może nie być. Bez względu na te wszystkie okropności.

Cóż, może masz rację, myślałem. Szkoda, że do mnie to jeszcze nie dotarło – wcześniej dotarło do niej. W milczeniu przytuliłem dziewczynę – nie opierała się. Miałem wrażenie, że nabrała już do mnie zaufania, choć coś, czego jeszcze w sobie nie przewyciężyła do końca, nie pozwala-

ło jej odpowiedzieć na moją czułość. Ale czułość potrafi wszystko ukoić, chyba ukoila również niedolę Frani. Nieśmiało, z delikatną powściągliwością dziewczyna pocałowała mnie i znieruchomiła. Ja też zamarłem.

To był mój pierwszy pocałunek, do tej pory nie całowała mnie żadna dziewczyna. Ja też nie całowałem żadnej dziewczyny. Byłem wdzięczny losowi, że podarował nam tę chwilę u schyłku dnia. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może jeszcze podaruje szczęśliwą noc? Czuję się silny i szczęśliwy, moje ręce poczynają sobie coraz śmiej. Dziewczyna zdawała się tracić głowę w moich objęciach, milczała i tylko całowała moją twarz. A potem zupełnie roztajała, podając się mojej chłopięcej sile.

– Kochana...

Raptem zatrzepotała, próbując się wyrwać z moich objęć.

– Nie trzeba. Miej litość. Potem... Jestem przecież sierotą...

Te słowa nagle mnie otrzeźwiły. Odsunąłem się od niej. W rzeczy samej, co też ja wyczyniam? Dlaczego? Przecież ją kocham.

– Nikogo jeszcze nie całowałam, Micia. Ciebie pierwszego. Miej litość nade mną.

Oczywiście, ja cię przecież nie skrzywdzę. Jestem dobry. Jestem sprawiedliwy, bo cię kocham...

– Kochana!...

Czuję, że nie ufa instynktom, nie daje zasnąć rozsądkowi. I chroni mnie przed samym sobą. W końcu nie jestem taki jak ci, którzy dotychczas trafiali się na jej drodze. Kocham ją i nie chcę skrzywdzić. Przede wszystkim nie chcę jej skrzywdzić. Nie, przede wszystkim to ją kocham. A miłość zawsze oznacza siłę, tak mi się przynajmniej zdawało...

Głuche łomotanie do drzwi na dole dotarło do mnie nie od razu, z początku pomyślałem, że gdzieś strzelają. Frania zeszytniała w moich rękach i poderwała się.

– Micia!! – w jej głosie brzmiało złe przeczucie.

– To po mnie – domyśliłem się.

Rzuciłem się na złamanie karku po ciemnych i stromych schodach w dół i po omacku znalazłem w sieni drzwi, w które łomotano od zewnątrz.

– Towarzyszu lejtnancie!..

Frانيا ledwie dała radę ciężkiej zasuwie. Gdy drzwi się otworzyły i wyskoczyłem na ciemne podwórze, głos Kananoka oznajmił:

– Dowódca batalionu was wzywa.

– Co znowu?

– Mówią, że mamy się stąd zabierać.

No tak, wszystko jasne, tego można się było spodziewać.

W ciemnościach dobrnęliśmy do stanowiska, na którym zebrała się już do kupy cała obsługa. Miedwiediew, jak to zawsze w nocy, przyciszonym głosem poinformował:

– Mamy rozkaz się zwijać. Posłałem po samochód, zaraz tu będzie A was poszukuje dowódca batalionu.

Wlałem do ciemnego rowu, po omacku wzięłem słuchawkę z ręki Muchy.

– Gdzie się wałęsasz? – usłyszałem zaniepokojony głos dowódcy. – Godzinę musiałem na ciebie czekać. Natychmiast zwijaj baterię, ładuj pociski i wyjeżdżaj na drogę. I czekaj na mnie.

Zaczynała się zwyczajna gorączka przed wyruszeniem na drogę. Świecąc słabymi światłami postojowymi, na stanowisko przypełzł ogromny studebacker; drugi powoli potoczył się wzdłuż płotu do sąsiedniej armaty. Nasz zaczął zaw-

racać i najeżdżać na stanowisko tyłem. Wkrótce, przez otwartą burtę, chłopaki zaczęli ładować ciężkie skrzynie z niewystrzelonymi pociskami, brezenty, broń i całe żołnierskie mienie. Wszyscy pracowali żwawo i zgodnie, bo wyglądało na to, że nie ruszamy do boju, a wręcz przeciwnie, tam, gdzie wojna już się skończyła. Wreszcie nadszedł koniec tej wojny, a my jesteśmy żywi i zdrowi. To dziw nad dziwy! To cud!

W moim sercu zapanował uczuciowy harmider – radość zwycięstwa mieszała się ze smutkiem rozstania. Wiedziałem, przeczuałem, że stąd wyjedziemy. Ale dokąd? Czy daleko? Muszę tu wrócić, to było mi bardzo potrzebne. Choć na godzinę, choć na kwadrans. Nic jej przecież nie powiedziałem. I niczego nie usłyszałem.

Nie wytrzymałem i gdy wszyscy czekali na drugą armatę, puściłem się biegiem w kierunku mostka. Furtka tym razem nie była zamknięta. Drzwi domu otwały się od razu, jak tylko wbiegłem na podwórko. W progu stała Frania. Za nią rysowały się dwa szare, nieruchome cienie jej starych gospodarzy.

– Franiu, odjeżdżamy!..

Frانيا milczała. Zastygła i stała jak oniemiała.

– Jedziemy! Czekaj na mnie! Wróć...

Starzy obserwowali mnie z mroku sieni, więc ogarnięty niedorzecznym wstydem, nawet jej nie pocałowałem. Objąłem tylko lekko w ciemnym progu i zaraz się odsunąłem. Nie miałem chwili do stracenia: na drodze już się zaczynał ruch, samochody powoli ruszały. Przebiegłem mostek z powrotem i wskoczyłem na szeroki stopień studebackera, który z moją ostatnią armatą kierował się na szosę.

Nad górską doliną dniało: rozjaśniało się niebo, na jego skraju niewyraźnie rysowały się zęby górskich szczytów.

Góra tuż przy domku wciąż jeszcze wyglądała jak ciemny monolit – i sama góra, i drzewa u jej podnóża. Jedyne szara sylwetka domu odcinała się jaśniejszą plamą od mrocznego, jednolitego tła. Spoglądałem wciąż w tamtą stronę z oddali, próbując wypatrzeć maleńką postać na ganku, ale nic nie widziałem. Gdybyśmy zostali z pół godziny dłużej, zrobiliby się widniej...

Ale nie dano nam pół godziny. Na drodze zapanował jakiś szalony pośpiech, jedne samochody zbliżały się i przysypywały, inne wymijały ich i jak szalone pędziły dalej. Starsi oficerowie popędzali – szybciej, szybciej! Dowódca batalionu nawrzeszczał na mnie za spóźnienie, chociaż po tym jak moje armaty dojechały na miejsce zbiórki, bateria jeszcze przez kilka minut nie ruszała się z miejsca. Na coś czekano. Złość i wrzaski dowódcy już mi spowszedniały, o to nie miałem do niego żalu. Żal i rozgoryczenie gryzły mnie z innego powodu. Moje serce coś przeczuwało, ale nie potrafiłem tego przeczucia nazwać i rozpoznać. Czułem tylko jakiś niewyraźny, ćmiący ból.

Przez jakiś czas pułk gorączkowo formował kolumnę marszową. Obok studebackerów z armatami na przyczepach przemknął willys dowódcy brygady. Krzyknął coś w przelocie, ale nie zrozumiałem co. Całą uwagę skierowałem na dowódcę batalionu, który stał w porannej szarówce z przodu. Obok niego pojawiła się znajoma, okrągłutka sylwetka zawsze żwawego kapitana, naszego pułkowego „smiersza”. Zdobycznego chorcha jednak przy nim nie było. O czymś krótko porozmawiali, chociaż wydawało się, że więcej mówił „smiersz”, dowódca tylko słuchał zafasowany. Potem obaj odwrócili się, jakby szukając kogoś w kolumnie – czy aby nie mnie? Może tylko mi się zdawa-

ło, bo obaj nie ruszali się z miejsca. „Smiersz” rozpiął płaski mapnik, który zawsze obijał się o jego zad, coś zanotował na papierze, mój dowódca zjrzał mu przez ramię. Co też oni tam zapisywali i za czym wciąż węszył ten niestrudzony łowca szpiegów? Ciekawe, czy widział choć jednego szpiega? Postanowiłem, że gdy dowódca batalionu zostanie sam, podejść do niego i zapytam. Ale nie zdążyłem. Padła komenda „Na miejsca!” i musiałem znowu wskoczyć na stopień samochodu.

W końcu, choć wciąż jeszcze powoli i z przystankami, ruszyliśmy po rozbitej ulicy miasteczka w kierunku niedalekiej pierwszej linii. Kiedy ja rozglądałem się za „smierszem”, do kabiny mojego studebackera wpakował się pasażer – nasz pułkowy propagandysta, major o niezwykle skomplikowanym nazwisku, którego nigdy nie mogłem zapamiętać. Byłem zmuszony przycupnąć na płaskim błotniku koło reflektora, tak jak to często robiłem podczas przejazdów na pierwszej linii. Ciepłą porą nie było tu gorzej niż w kabinie, a w razie nagłego ostrzału szybciej można było zeskoczyć na ziemię. Należało się tylko mocno trzymać. Przed wyruszeniem żaden z dowódców nic nie mówił, ale skoro ruszyli otwarcie, to znaczyło, że Niemcy nie stawiali oporu. Znikli. Za doszczętnie zrujnowanymi domami na skraju miasteczka minęliśmy linię okopów naszej piechoty, której już tam nie było, potem linię Niemców. Niemieckie okopy wyglądały jakby je opuszczano w wielkim pośpiechu – wszędzie porozrzucany sprzęt wojskowy, broń, skrzynki z amunicją; w poprzek nasypu, na widelkach, stał przygotowany do walki karabin maszynowy ze zwisającą do okopu taśmą pełną pocisków. Ale nigdzie nie było widać żołnierzy – ani żywych, ani martwych. Zdaje się, że

wczoraj wystrzelali swoją bojową normę amunicji i ruszyli na zachód. Na spotkanie z Amerykanami. Z nami spotykać się nie chcieli.

Już się dobrze rozwidniło, choć słońce jeszcze nie wyszło zza gór i w górskiej dolinie panował cienisty chłód. Nieśpiesznie posuwaliśmy się asfaltową szosą na zachód, minęliśmy pierwsze nietknięte wojną miasteczko ze starannie utrzymanymi murowanymi domkami, z wąskimi uliczkami i kościołem wśród kępy rozłożystych drzew. Nie spotykaliśmy zbyt wielu ludzi, ale wszędzie z balkonów i okien zwisały białe prześcieradła na znak kapitulacji. Po jakimś czasie zaczęli się trafiać ludzie: starcy, dzieci i kobiety; machali do nas z otwartych okien i uśmiechali się. Widzieliśmy i takich, co płakali. Żołnierze machali do nich z ciężarówek, wykrzykiwali najbardziej teraz zrozumiałe słowa „Hitler kaput!” albo coś wesołego i frywolnego. Wszyscy się cieszyli – wojna nareszcie się skończyła.

Za miasteczkiem droga poszła w górę i zaczęły się zakręty – raz w prawo, raz w lewo. Nieoczekiwanie, na górskim stoku, kolumna zatrzymała się: z przodu, zza zakrętu, dały się słyszeć wybuchy armatnich pocisków. Wszyscy z niepokojem czekali na dalszy rozwój wypadków. Zeskoczyłem z błotnika, pomyślałem, że za chwilę możemy dostać rozkaz odczepiania armat. Ale żaden rozkaz nie nadchodził. Oficerowie powyłazili z wozów, stali na poboczu i wpatrywali się w czoło kolumny. Niektórzy ruszyli w kierunku dowództwa, skąd dolatywały te nieoczekiwane wybuchy. Ja też przeszedłem kawałek wzdłuż samochodów baterii i z przodu ujrzałem swego dowódcę. Wraz z dowódcą pierwszej baterii patrzył w kierunku czoła kolumny – pewnie też czekał na jakiś sygnał. Ci dwaj oficerowie, obaj w ran-

dze kapitana, wyglądali zupełnie różnie – dowódca batalionu Nr 1 był niski i chuderlawy, dowódca batalionu Nr 2 był zwalisty i z twarzy przypominał Cygana. Z ich cichej rozmowy zrozumiałem, że ostrzelało nas niemieckie działko samobieżne, które zaraz jednak umilkło. Jego obsługa pewnie dała nogę. Nie było powodów do niepokoju, zaraz ruszamy. I rzeczywiście, wkrótce od czoła kolumny doleciała komenda „Do samochodów!”. Dowódca pierwszej baterii pobiegł do swego studebackera, mój wciąż stał w miejscu, wpatrując się przed siebie.

– Towarzyszu kapitanie, chciałem zapytać.

– O co? – dowódca batalionu odwrócił ku mnie niezadowoloną twarz.

– Czego tu szukał personalny dzisiaj z rana?

– Nie wiesz czego? – dowódca baterii wbił we mnie nie wróżące nic dobrego spojrzenie. – Nie domyślasz się?

– Nie domyślałem się – powiedziałem, ale zaczynałem się domyślać.

– Z jaką to rodaczką się tam zwąchałeś?

Oniemiałem na moment – było tak, jak przypuszczałem. W milczeniu czekałem, co jeszcze powie dowódca, ale on też zamilkł, żałując pewnie, że i tak powiedział za dużo.

– A gdzie są twoi rodzice? Mieszkali na okupowanym terytorium?

– Mieszkali. No i co?

– No i to! – niejasno zakończył dowódca i szybko odwrócił się do swego samochodu. Z przodu warczały już motory, kolumna ruszyła.

Biegiem wróciłem do swego plutonu i wskoczyłem na szeroki błotnik studebackera. Oto masz radość: to się nazywa spotkać rodaczkę. Do tego jeszcze rodzice na okupo-

wanym terytorium. A gdzie teraz są ci rodzice, co ja o nich wiem? Myślałem, że wrócę po wojnie, zacznę szukać. Ktoś przecież powinien wiedzieć, jak i gdzie przepadli minionego roku nad Uszaczą. Byli w partyzantce i nagle znikli. Możliwe, że podczas wychodzenia z niemieckiego okupacji. Może zginęli, a może... To „może” od pół roku nie dawało mi spokoju. Szkoda, że pod sam koniec wojny psuły się moje na ogół przyzwoite stosunki z dowódcą, który najwyraźniej był na mnie zły, oczywiście z powodu zainteresowania oficera personalnego. Zresztą, trudno mu się dziwić. Z takiego powodu można się było nabawić niezłego pietra.

Kolumna ruszyła dalej i niebawem ujrzelśmy to działo, które nas ostrzelało. Obsługi już tam nie było, porzuciła działo na stoku za potokiem. Żadnej szkody nam nie zrobiła. A na drugim zakręcie, pod urwiskiem, leżał w potoku, przewrócony gąsienicami do góry, nasz T-34. Czarna woda bulgotała wokół armatniej wieżyczki. Zdaje się, że pozostali tam czołgiści – chyba za bardzo im się śpieszyło do zwycięstwa.

Znowu zjechaliśmy w dolinę, droga była tu bardziej płaska, samochody zwiększyły prędkość. Wciąż siedziałem na błotniku, trzymając się za okratowanie reflektora. I nagle zobaczyliśmy Niemców. Spora kolumna niemieckiej piechoty maszerowała skrajem drogi, ostrożnie przepuszczając nasze samochody: znużone, wychudzone, porośnięte szczytną twarzą sunące w beładnym, pozbawionym życia szyku. Szli obwieszani szynelami, kołdrami, torbami z marszowym dobytkiem, ale bez broni. Zdążyli się rozbroić. Byli już jeńcami. W każdym razie przygotowali się do niewoli. Oficerów było mało – tu i ówdzie obok kolumny dreptał

obojętny na wszystko lejtnant albo ober-lejtnant z jedną lub dwoma gwiazdkami na krótkich pagonach. Nasi żołnierze z ciężarówek wykrzykiwali do nich zaczepne „Hitler kaput!”, wkładając w te słowa i radość, i drwinę, i złość. Niemcy prawie nie reagowali, spoglądali tylko przezornie na swych wczorajszych wrogów i dreptali dalej. Wtedy żołnierzom przyszedł do głowy głupi żart i zaczęli krzyczeć do Niemców „Heil Hitler!”, wyrzucając ręce przed siebie. Niektórzy z Niemców powściągliwie odpowiadali im swoim „heil”, niepewnie unosząc ręce w górę. Jeśli na przegubach żołnierze dostrzegli pasek od zegarka, wówczas tłukli z góry w kabinę i krzyczeli „Stój!”. Szofer zatrzymywał samochód, któryś zeskakiwał na drogę i rzucał się w gromadkę Niemców. Po chwili pojawiał się z zegarkiem albo dwoma, w biegu chwytał za burtę studebackera.. Dzisiaj dowódcy stali się zdumiewająco łagodni i patrzyli na to przez palce, niektórzy nawet sami wyskakiwali z kabin. Mój major propagandysta też ze dwa razy wylaźł na drogę. Za pierwszym razem wrócił i rzucił na siedzenie nowy płaszcz oficerski w stalowym kolorze, za drugim wzbogacił się chyba o zegarek. Zrobiło mi się smutno...

Tak dojechaliśmy do następnego miasteczka i zatrzymaliśmy się na jego skraju. Dalej już nie można się było przebić, zresztą nie było takiej potrzeby. Wszystkie ulice, centrum i okolica wypełnione były wojskiem: była tam piechota, artyleria, kilka samobieżnych 75-tek, ciężarówki, willysy i dodge dowództwa. Pojedynczymi samochodami, czasem pieszo dowódcy uparcie przeciskali się do przodu, na brzeg rzeki, gdzie wcześniej od nas zjawili się Amerykanie. Czarnym eleganckim chorchem, cały czas na sygnale, szybko przejechał znajomy jowialny major, „smiersz” na-

szej brygady. Teraz jednak się nie uśmiechał, za przednią szybą samochodu wyglądał na bardzo zaafektowanego— widocznie spóźnił się na spotkanie. Albo na coś innego. Na mnie nawet nie spojrział. Pomyślało mi się: oby zawsze tak mnie nie zauważał.

Nasza kolumna trochę postąpiła przy wjeździe do miasteczka, a potem któryś z dowódców skierował ją w boczną uliczkę. Niebawem znaleźliśmy się na skraju miasteczka, koło szerokiej łączki nad rzeką. Nie zdążyliśmy nawet ustawić samochodów i dział w jakiejś takiej linii, gdy nas otoczyli rozradowani ludzie w dziwnych mundurach sportowego kroju, grubych ciężkich kamaszach i jeszcze cięższych hełmach w pokrowcach. To byli Amerykanie. Rzucali się od razu do obejmowania każdego napotkanego, nie patrzyli, szeregowiec to czy oficer, mocno poklepywali po plecach, na całe gardło wykrzykiwali coś w niezrozumiałym języku. Po angielsku rozumiał trochę tylko mój pasażer, major, więc po paru wypowiedzianych przez niego słowach Amerykanie z radosną wrzawą zaczęli podrzucać go w górę jak największego sowieckiego bohatera. Z początku nasi żołnierze reagowali na ich wesołość dość nieśmiało, potem jednak coraz śmielej i bardziej ochoczo, w końcu cieszyli się na całe gardło i wrzeszczeli do Amerykanów jak do głuchych. Niektórzy powłazili na nasze samochody, nie wiadomo skąd pojawiły się butelki i żołnierskie manierki, nalewano do kubków albo pito po kolei prosto z butelek. Łączka w mig przekształciła się w gwarny, bezładny kiermasz, na którym zamiast furmanek stały ogromne studebackery z armatami na przyczepach. Nikt nie wydawał rozkazów, nikt nie starał się zaprowadzić porządku. Tu byli tylko młodzi oficerowie, dowódcy batalionów i plutonów, starsi ofice-

rowie gdzieś znikli, pewnie zebrali się przy moście, gdzie odbywało się główne spotkanie.

A nam i tu było wystarczająco radośnie. Kilku Amerykanów, a chyba dobrze już mieli w czubie, znalazło się przed moim samochodem i wesoło darło się na całe gardło. Dwaj obejmowali się z telefonistą Muchą. Okazało się, że rozumieli po polsku i dogadywali się z Muchą, który trafił do pułku z polskiej armii. Padały słowa *bardzo proszę, panie kapralu, germańskie bydło*. Mucha zobaczył mnie i radośnie wyjaśnił:

– Towarzyszu lejtnancie, ale traf! Rodacy! Ich rodzice są spod Poznania. Rumem częstują...

Jeden z tych rodaków – rozcheistany, barczysty dryblas – już podawał mi wielką butelkę, w której coś się jeszcze bełtało na dnie, a Mucha zachęcał: „Za zwycięstwo, lejtnancie!” Bez większej ochoty wypilem kilka łyków ciepławej, cuchnącej cieczy. Po mnie uroczyście wypił sierżant Miedwiediew. Potem skądś pojawiła się aluminiowa manierka i żwawo powędrowała z rąk do rąk. Mucha rozdawał nie wiadomo gdzie zdobyte kawałki twardej czekolady na zakąskę. Napiliśmy się jeszcze i wtedy ujrzałem krzepkiego Murzyna z białymi zębami, całego w khaki, który zaczął bezceremonialnie obmacywać moją „czerwoną gwiazdę” na piersiach.

– *A present, sir? A present, yes? Yes?*

Nie rozumiałem, co znaczy to *present*. Czyżby chciał dostać mój order w prezencie? Chyba tak. Zsunął z ręki metalową bransoletkę zegarka i proponował mi ją w zamian. Co miałem zrobić, żeby się ode mnie odczepił? Inni jednak się dogadywali, wszędzie odbywała się pijacka wymiana pamiątek – zegarków, gwiazdek z furazerek, pasków i nawet pis-

toletów. Zobaczyłem, że na ciężarówce mój ścichapek Kananok celował gdzieś z porządnego amerykańskiego karabinu, wymienił go za coś czy jak? Jeszcze się chłopak nie nawojował. Obok, na burcie, siedział rozchełstany Amerykanin, dobroduszenie szczerząc zęby.

– Łyknijmy jeszcze trochę za zwycięstwo – Miedwiediew bezceremonialnie podsunął mi pod nos manierkę.

– Łyknijmy!

Do diabła, to naprawdę zwycięstwo. Największe zwycięstwo w największej z wojen. Dawaj, Niedźwiedziu, wypijemy. Za tych, co już nigdy nie wypiją.

Wypiłem, chyba po raz pierwszy, ze swoim podkomendnym, działonowym. Na ogół u nas nie było przyjęte pić z podkomendnymi. Jak już piliśmy, to najczęściej z równymi sobie: dowódcy plutonu z dowódcami plutonu, dowódca batalionu z dowódcami batalionu. Ale to była wyjątkowa okazja – koniec wojny. A my z Miedwiediewem ponad cztery miesiące, dzień w dzień, noc w noc, byliśmy razem. W jednym okopie i koło jednej armaty. Ale wypić z jednej manierki jeszcze nie mieliśmy okazji.

– A przecież mogliśmy leżeć w jednej jamie – powiedział Miedwiediew, beltając wódką w podniesionej manierce i ociągając się z piciem.

– Pod Szamantornią?

– Pod Szamantornią właśnie. Tam już straciłem nadzieję. Kompletna matnia.

Tak, miał rację, nie zapomniałem o Szamantorni. Podczas wiosennego kontrataku niemieckich czołgów naszą armatę odcięli od reszty, dobę przesiedzieliśmy w kukurydzy, już żeśmy stracili nadzieję, że wyjdziemy stamtąd żywi. Przed nami, na wzgórzu, byli Niemcy; z tyłu, na dro-

dze, stały niemieckie czołgi; nasz studebacker spłonął koło przeprawy jeszcze z rana. Ogarnęła nas czarna rozpacz. Wtedy Miedwiediew powiedział: jak tylko się ściemni, trzeba kogoś posłać do piechurów, niech dadzą z pięciu chłopca, spróbujemy wytoczyć działo. Tak też zrobiliśmy. Posłaliśmy Stiepanowa, który przekradł się pomiędzy niemieckimi czołgami i przyprowadził czterech z piechoty. Nad ranem, we mgle, jakoś wytoczyliśmy nasze działo z kukurydzy i przedostaliśmy się do swoich. Nawet bez strat. Ale cośmy przeżyli, to nie daj Boże! Rankiem po tej kukurydzy już hasali niemieccy grenadierzy.

W tym momencie do naszej wesołej gromadki dołączył i Stiepanow – krzepki, starszawy młodszy sierżant. Miał na zatłuszczonej bluzie Order Sławy, który dostał za ten swój niezwykły wyczyn. Z samochodu zlął Kananok. Na tym kiermaszu nieskrępowanej wesołości wyglądał na najmniej zadowolonego. Stale mu towarzyszący uśmiech dzisiaj znikł z jego twarzy z zadartym nosem i ja wiedziałem dlaczego. Wojna się skończyła, a chłopak nie miał żadnego medalu, co najwyraźniej go martwiło. Mówiono, że nie zasłużył. Przewojował zimę razem ze wszystkimi, siedział pod ogniem jak wszyscy, ale masz ci los – nie zasłużył. Bo młody i skromny. Najważniejsze, że zasłużył na życie – czyż to nie największa nagroda dla każdego żołnierza?

Wokół huczał, gadał, kłębił się żołnierski tłum. Żołnierze z naszej i innych baterii przemieszali się z Amerykanami, których przyjmowali gorąco jak braci – gawędzili, obejmowali się i razem pili. Ale i między sobą wśród naszych przebiegała niespotykana do tej pory radość. Gdzieś w oddali już ciągnęli „Katuszę”, a bliżej przyjemny baryton zapiewały z naszej baterii zaczynał układać nową piosenkę:

*Ach, pokochaj mnie, żołnierzu,
I nie szukaj lepszej żony...
Zapamiętasz mnie na zawsze,
Tak jak swe ojczyste strony.*

Wyglądało na to, że Miedwiediew nie upijał się szybko. Wyglądał na całkiem trzeźwego i cichym głosem przekonywał mnie:

– Jak już podpiszą pokój, przyjeżdżaj do mnie w gości. Jeśli będziesz mógł, to z rodziną. Albo sam. Mieszkam nad jeziorem Tielackoje.

To wiedziałem. Przez zimę i wiosnę niemało nasłuchałem się o jego jeziorze, bajecznie pięknym i pełnym wspaiałych ryb. I tym razem sierżant nie mógł się powstrzymać, by o tym nie przypomnieć.

– Jezioro to istny cud. Jest na pierwszym miejscu pod względem piękności.

– Może przyjadę – powiedziałem niepewnie.

– A nad czym się tu zastanawiać? Młodyś, żenić się pora. A ja akurat mam i pannę na wydaniu. Moja Tośka byłaby ci w sam raz do pary...

Wiedziałem też o jego Tośce. Miedwiediew był ode mnie dwa razy starszy, miał dorosłą córkę i syna cekaemistę, który zginął pod Stalingradem. Została mu tylko córka i chciał urządzić jej życie jak należy. Ale ja nie nadawałem się raczej na męża altajskiej panny.

Z tyłu, pomiędzy mną a Miedwiediewem, przecisnął się instruktor sanitarny Pietruszyn. Miał czerwoną twarz i furazerkę nasadzoną tyłem do przodu. Był już dobrze podпиты.

– Zamawiam, Niedźwiedziu! Nie swataj córki lejtnantowi, obiecałeś ją mnie.

Miedwiediew tylko zmarszczył brwi na tę pijacką bezczelność.

– Za dużo byś chciał – powiedział cicho i podał mi manierkę. – Wypijmy, lejtnancie.

Zdaje się, że wypilem z Miedwiediewem jeszcze raz, a potem z wstrzemięźliwym Kananokiem i nawet z Pietruszynem. Już nie byłem zły na instruktora sanitarnego, tym bardziej, że on też przestał się na mnie złościć i sam mi o tym powiedział. Chyba nawet się z nim obejmowaliśmy i Pietruszyn wciąż się wychwalał, jak go szanują oficerowie. Naczelnik służby sanitarnej zawsze podaje mu rękę na powitanie. Już całkiem mętным wzrokiem dostrzegłem przed sobą chwiejną postać majora propagandysty, zdaje się, że był razem z dowódcą batalionu czy kimś innym, kogo już nie potrafiłem rozpoznać. Oparłem się o błotnik studebackera i powoli, ale nieuchronnie traciłem kontakt z otoczeniem. Przez jakiś czas jeszcze słyszałem hałaśliwy gwar – wszyscy pili, śpiewali i śmiali się. A niektórzy płakali gorącymi pijackimi łzami. Aż wreszcie ożywioną łękę zmorzył pijany sen.

Nie zauważyłem, kiedy zasnąłem, ale ocknąłem się raptownie o świcie. Koło swojej głowy namacałem wielkie, zapylone koło studebackera, uczepiłem się go i usiadłem.

Nasze studebackery stały porozrzucane po całej łące, nikt ich nie wyrównał, zostały tak, jak je wczoraj zostawiono. Pomiędzy nimi, pod armatnimi łóżkami, na zdeptanej trawie, na ciężarówkach i w pootwieranych kabinach leżeli, spali, chrzapałi żołnierze, sowieccy na przemian z amerykańskimi, jak komu wypadło. Nieopodal na ziemi wyciągnął się tamten wczorajszy Murzyn, który chciał się zamie-

nić na mój order. Na jego nogach ułożył się ktoś z naszych, pod nim, wdeptany w ziemię, leżał czyjś karabin. Kabura Amerykanina była rozpięta i pusta – widocznie podarował komuś swojego kolta. Albo wymienił na ten porzeczony karabin. Z trudnością dźwignąłem się na nogi. Pękała mi głowa, w całym ciele czułem niezwykłą słabość. Ale natychmiast opanowało mnie nowe pragnienie. Mniej więcej pamiętałem, z której strony tu przyjechaliśmy i zacząłem brnąć w tamtym kierunku. Obszedłem studebackery naszej baterii, nigdzie nie znalazłem dowódcy batalionu i pomyślałem, że tak pewnie jest lepiej. Natknąłem się tylko na znajome buty instruktora sanitarnego Pietruszyna, który słodko spał na miękkim siedzeniu w szoferce, zwiesiwszy nogi na zewnątrz. Chyba przeholował, pomyślałem, choć sam nie byłem w dużo lepszym stanie.

Sennym zauwżeniem, do cna zapchanym amfibiami desantowymi, wyszedłem na główną ulicę. Wszędzie było pusto i bezludnie, jak przed końcem świata. Wszędzie wszyscy spali – w samochodach, na podwórcach, pewnie też w domach. Odpoczywali po ogromnym wojennym wysiłku.

Opętany jedną myślą, powlokłem się szosą na wschód. Oglądałem się raz po raz, licząc na to, że pojawi się jakiś samochód. Ale się nie pojawiał, nikt mnie nie doganiał. Tymczasem całkiem się rozwidniło, na błękitnym porannym niebie nie było ani jednej chmurki. Pierwszy dzień pokoju, wielki dzień zwycięstwa. Wreszcie na drodze pojawiło się jakieś auto z dwoma oficerami, ale nadjeżdżało z naprzeciwka. Za nim po dłuższym czasie ukazały się dwa przysadziste austriackie samochody wypełnione po brzegi wyzwolonym europejskim ludem. Słyszał by było z daleka, jak ci ludzie wyrzaskiwali swoje piosenki, było im wesoło.

Wciąż szedłem i szedłem równym krokiem, pozostawiając miasteczko daleko w tyle. Droga stromo pięła się pod górę, wzdłuż brzegu dość szerokiej rzeki. Wzdłuż drugiego brzegu też ciągnęła się szosa i ruch na niej był znacznie większy niż tutaj. Samochody mknęły w obu kierunkach – domyśliłem się, że tam byli Amerykanie. Rzeka stała się granicą pomiędzy dwiema strefami.

Ale co miałem robić? Zaczynałem już powoli trzeźwieć po wczorajszym i coraz wyraźniej zdawać sobie sprawę z awanturniczości swego pomysłu. W ten sposób, na piechotę, nie dojdę, wczoraj odjechaliśmy jednak dość daleko od naszych stanowisk. A jeśli nawet dopisze mi szczęście i złapię okazję, to nie mogę mieć pewności, że zdołam się uwinąć na czas. Jak by na to nie patrzeć, dopuściłem się samowolnego oddalenia i w pułku prędko zauważą moją nieobecność. W końcu i zwycięzcy zaczną trzeźwieć. Zmuszą ich do tego dowódcy.

Ale wracać już nie mogłem – honor mi nie pozwalał.

Gdy człowiek naprawdę jest w potrzebie, wtedy pomaga Bóg. Co prawda nie zawsze na czas, bywa, że z małym spóźnieniem. Kiedy już nie można nacieszyć się boską przychylnością. Tak było z naszym dowódcą batalionu Rukawicy. Za walki nad Dniestrem został przedstawiony do Gwiazdy Bohatera. Bardzo chciał otrzymać złotą gwiazdę, ale zginął pod Székesfehérvár. Ledwie zdążyli go pochować, jak przyszedł rozkaz o nadaniu mu odznaczenia. I na co ono komu teraz? O tym mniej więcej sobie myślałem, gdy oglądając się, wreszcie ujrzałem samochód. Podniosłem rękę a on, jak na zawołanie, miękko zahamował na szosie. To był potężny ZIS, z kabiny którego wysunęła się wesoła głowa w wyblakłej furazerce.

– No co tam, lejtnancie? Siadaj, podrzuć.

Wskoczyłem przez tylną burtę na przyczepę, niemal całkowicie zajęta przez jakąś staroświecką szafę czy komodę z połączanymi wykrętami na oszklonych drzwiczkach. Przy samej szoferce stały jeszcze jakieś trzy wysokie skrzynie. Miejsca dla pasażera nie było tam w ogóle, jedynie z tyłu, koło burty, pozostawała niewielka szczelina, w którą udało mi się wcisnąć nogi. Nie miałem się za co chwycić, więc niezdarne oparłem dłonie o śliski bok szafy.

– O właśnie, będziesz trzymał, żeby się nie przesuwiała. Bo jak się poobija, kto będzie odpowiadał?

Okazuje się, że i w dzień zwycięstwa nie wszyscy świętowali i balowali, pomyślałem. Niektórzy mieli na głowie inne sprawy. Niech tam, na zdrowie. ZIS niespiesznie toczył się po niezłej drodze, wiosenny wiatr przyjemnie owiewał mi spoconą od marszu twarz. Mojemu pragnieniu miało stać się zadość, byłem niemal całkiem zadowolony. *Ach, pokochaj mnie, żołnierzu, i nie szukaj lepszej żony. Zapamiętasz mnie na zawsze, tak jak swe ojczyste strony* – śpiewało mi w duszy. Tak, zapamiętam cię na zawsze, kochana dziewczyno, zapewniałem samego siebie. Mimo to mój pogodny nastój mąciły jakieś przeczucia niosące niejasny, przygniatający niepokój i ponaglały mnie – prędzej, prędzej. Bałem się spóźnić.

– Zwycięstwo, lejtnancie. Patrzajcie no, dożyliśmy jednak! – wiatr donosił słowa z szoferki, też zapchanej do polowy jakimiś pakunkami.

Z naprzeciwka zaczęły pojawiać się pojazdy – samochody osobowe, sztabowe, ciężarówki. To spóźnialscy doganiali zwycięstwo, pędzili na spotkanie z aliantami. W oknach jednego ze zdobycznych autobusów mignęły rozwe-

selone dziewczęce twarze, doleciały dźwięki muzyki – ktoś grał na harmonii. Pewnie jakiś wojskowy zespół, domyśliłem się, z tych, co dawały nam natchnienie do zwycięstwa. Spóźnili się jednak na doniosłe spotkanie, należało być wcześniej.

W znajomym miasteczku, wczoraj zupełnie wyludnionym, teraz pełną parą kipiało życie, odbywało się prawdziwe uliczne święto, z niezliczonym tłumem ludzi, jak się zorientowałem, nie tylko Austriaków. Zdawało się, że ściągali tu ludzie z całej okolicy, z pobliskich górskich osiedli. Na placu przed kościołem powiewały flagi – trójkolorowa francuska, brytyjska i jeszcze jakaś. Zebrali się tam cudzoziemcy, których Hitler spędził z całej Europy do pracy w wojskowych fabrykach. Teraz byli wolni i szli do domu, każdy w swoim kierunku i pod swoją własną flagą. Ja też chciałem do domu, ale mój czas jeszcze nie nadszedł. Na mnie czekała dziewczyna.

ZIS odjechał trochę od tłumnego placu, ostro skręcił w jakieś podwórko i zatrzymał się. Wesoły kierowca zeskończył na bruk.

– Przyjechaliśmy! Ty dokąd, lejtnancie?

– Ja muszę dalej.

– Na tyły? Tam nie jadę.

Zmartwiony, rozglądałem się po bokach. Na podwórku stały już dwa inne studebackery, jeden pusty a drugi czymś załadowany. Dokąd mogą jechać? I kiedy? Nie miałem kogo zapytać. Obszedłem je i pod tynkowaną ścianą ujrzałem rower. Żółte drzwi z desek ułożonych w jodełkę, przy których stał, były zamknięte i nikt stamtąd nie wychodził. Ostrożnie wziąłem rower i obróciłem go w kierunku ulicy. Nikt mnie nie zatrzymał, nikt nie krzyknął. Ruszyłem przed siebie.

Z początku pędziłem, ile sił w nogach, kręcąc pedałami w szalonym tempie. Potem zwolniłem. Nikt mnie przecież nie gonił, mogłem jechać spokojniej. Samochody z naprzeciwka na ogół trzymały się swojej strony i za bardzo nie przeszkadzały. Tylko raz, na zakręcie, ledwie zdołałem się rozminąć z szalonym dodgem. Z samochodu donosiła się pijana gadka – pięciu oficerów butelką fetowało zwycięstwo. Dokoła rozpościerał się malowniczy krajobraz górskiej doliny z sosnowym lasem porastającym stoki gór; gdzieś tam w oddali, na krańcach lasu, widniały białe i szare zabudowania z szerokimi dachami; przydrożne domostwa ozdabiały pstrokate fasady z kamieni ułożonych pomiędzy drewnianymi belkami. Zza odległych, ośnieżonych szczytów nagle wyjrzało słońce i znowu, jak podczas mojej niedawnej przejażdżki na rowerze, oślepiło mnie swoim jaskrawym blaskiem. Słońce ze wschodu. Tam była moja ojczyzna – bez takich gór i ładnych domków, ale z drogą memu sercu, zieloną urodą. Teraz tam wrócę. I to nie sam.

Powoli mój zamiar okrzepł, umocnił się, zaczął przerażać się w pewny, niewzruszony cel. Nie bardzo wiedziałem, jak go osiągnąć. Ale cel się wykryształizował i coraz bardziej wrastał w świadomość, stawał się obsesją. Czuję, że nie mogę zwlekać, natychmiast muszę zrealizować swoje postanowienie. Dlaczego by nie? Wojna się przecież skończyła. Miałem niewiele ponad dwadzieścia lat i jeszcze nie wiedziałem, co to miłość. Kiedyś w szpitalu koło Znamienki bardzo mi się spodobała siostra Niura z gabinetu rehabilitacyjnego. To pod jej okiem ćwiczono niedoleczone ręce i nogi, pedałowano na rowerze, ścisano jakieś sprężynujące „rozwieraki”. Pewnego razu posiedziałem z nią na dyżurze, pogadałem, wydała mi się bardzo miła.

Rzeczywiście była miła, sęk jednak w tym, że nie dla mnie jednego. Kiedyś dała mi rapier i zaproponowała, żebyśmy pofechtowali trochę. Mierny ze mnie okazał się szermierz, trafiła mnie bez trudu i to kilkakrotnie. Ale od tego fechtunku gotów byłem się w niej zakochać. Dopóki nie zobaczyłem, jak fechtuje z rannym w głowę kapitanem lotnictwa. Ten musiał być bardziej ode mnie obrotny pod każdym względem, bo kiedy się wypisał, siostrzyczka pojechała za nim, porzucając szpital. Do pułku lotniczego. Ja zostałem doleźć swoją przestreloną rękę. Niura była ładną, wysportowaną dziewczyną, w tym cała rzecz.

Minąłem jeszcze jedną miejscinę w dolinie – skupisko białych i szarych domków. W oknach i na balkonach powiewały białe prześcieradła, ale ludzi prawie nie było widać. Gdzieniedzie na podwórkach i na poboczu stały nasze wojskowe samochody, wokół nich kręcili się wojskowi – już organizowano tyły. Ani razu nikt mnie nie zatrzymał, nie zapytał, dokąd jadę. Co znaczy koniec wojny! Kiedy trwała – wszystko jedno, za granicą czy na naszej ziemi – nie można było przebić się na tyły nawet na dwa-trzy kilometry. Wszędzie stały oddziały zagradzające, szlabany, patrole i kontrole. Nawet ranni musieli mieć zaświadczenie z pierwszej linii. Krwawa rana o niczym jeszcze nie świadczyła. A teraz... Teraz to zrozumiałe – wojna już się skończyła.

Nareszcie dotarłem do swojego miasteczka – za zakrętem ukazała się doszczętnie rozwalona ulica. Minąłem linię niemieckich okopów, potem swoich. Znajoma ulica, jak i wczoraj, pokryta była odłamkami cegieł i dachówki rozdrobnionej kołami samochodów. W powietrzu unosiła się gorzka woń tłących się pożarów. To miasteczko miało pecha, nie udało mu się przetrwać do końca, jak

przetrwały inne, położone dalej na zachód. Ale taki to już był los miast, jak zresztą i ludzi, podczas wojny. Na szczęście ocalał znajomy domek za potokiem – ujrzałem go zza rozwalonego domostwa na rogu i moje serce z radości zaczęło bić szybciej.

Ogarnęło mnie jednak złe przeczucie, gdy z mostka doszłem na wpół otwartą furtkę. Zawsze była zamknięta, zawsze przelałem górą. Rzuciłem rower na ziemię i pobiegłem do drzwi. Ale drzwi... Cóż to? Dlaczego cały dół jest wyłamany, a kamienna ściana obok czernieje spalenizną? Nie rozumiejąc jeszcze, co to może znaczyć, pchnąłem połamane drzwi nogą i wszedłem do znajomej, pogrążonej jak zwykle w półmroku, sieni.

Zobaczyłem ją od razu.

Jej drobnutkie, jak u podlotka, ciało leżało nieruchomo na śliskich płytach podłogi dokładnie pośrodku sieni, tam gdzie jeszcze wczoraj stał okrągły stolik. Miała na sobie tylko rozerwaną na piersiach bluzkę. Krótkie rudawe włosy rozsypały się na podłodze wokół odchylonej do tyłu głowy, na ostrym podbródku zastygło pasemko ściekającej posoki. Szeroko otwarte oczy patrzyły nic nie widzącym wzrokiem w mrok wysokiego sufitu.

Nie dotykałem jej, przykucnąłem tylko obok i siedziałem, wpatrując się w jej martwą twarzyczkę. Nie wiedziałem co robić – płakać czy krzyczeć. Chciało mi się wyc. Ale kto mógłby usłyszeć mój krzyk, zrozumieć mój dziki ból? Straszliwą niesprawiedliwość tej śmierci? Wojny i życia w ogóle...

Kiedy w końcu przyszedłem trochę do siebie, wstałem i rozejrzałem się dokoła. Istne pobojuwisko. Wszystkie szafy były pootwierane, na podłodze wały się porozrzucone

książki. Małe stołki leżały w różnych miejscach sieni, stół gdzieś zniknął. Dwa skórzane fotele, które wcześniej stały przy ścianie, teraz były przesunięte, a z porozcinanych siedzeń wystawały sprężyny. Przełamując swoje obojętnienie po przeżytych szoku, zająrzałem przez otwarte drzwi do kuchni, gdzie równie panował straszliwy bałagan, naczynia potłuczone, meble przewracane. Następne, obszerniejsze pomieszczenie, było chyba jadalnią z długim stołem pośrodku i ciemnymi obrazami na ścianach. Na stole leżały puste, pozłacane ramy, wszędzie się wały przewracane fotele. Za następnymi drzwiami zza stołu wystawały nogi w ciemnoniebieskich spodniach z lampasami. Doktora Scharfa zabito strzałem w głowę i kałuża krwi popłynęła ku drzwiom. Spróbowałem je otworzyć, ale poczułem opór. Przez szczelinę dostrzegłem białą jak dmuchawiec głowę frau Sabiny. Gospodyni też nie żyła.

Chodziłem wśród tego bestialskiego pogromu, nic nie widzącym wzrokiem błędziłem po rozrzuconych, podeptanych i zniszczonych rzeczach, ubraniach i meblach, nic z tego nie rozumiałem. Byłem zdruzgotany, zaskoczony i oszłomiony. Kto to zrobił? Za co? Przecież wojna się skończyła! Chodziło o zemstę czy o rabunek? A może politykę? Wróciłem do sieni. Obojętna na wszystko Frania leżała cichutko na poprzednim miejscu. Więc taki koniec był jej pisany. I to kiedy! Z końcem wojny. Na progu nowego życia. Kiedy ja dopiero zaczynałem mieć na to życie nadzieję. A jej właśnie w taki czas sądzone było umrzeć. Miała ledwie osiemnaście lat...

Ułożyłem jej małe ręce równo wzdłuż ciała, zsunąłem jej gołe, zakrwawione nogi. Potwory i bestie! Bestie i potwory! Ktokolwiek to zrobił – nasi czy Niemcy. Bolszewicy

czy faszyci. Dlaczego ziemia się nie otworzy, by ich pochłonać? Podniosłem z podłogi wymięty obrus w kwiaty i równo przykryłem nim Franię. Ale co miałem robić dalej?

Patrzyłem z ogromnym bólem na ten straszny pogrom, na nieruchome, zakrwawione ciała. W czasie wojny widziałem wielu zabitych, wielu rozszarpanych pociskami – swoich i Niemców. Ale to byli mężczyźni, żołnierze. Tu leżała drobna, młodzietka dziewczyna, moja nieoczekiwana miłość. Potrzebowałem pomocy, trochę otuchy. Gdybyż tu obok byli przyjaciele albo chociaż chłopaki z mojego plutonu. Nikogo jednak nie było, a co mogłem zrobić sam? Iść na ulicę, po której przejeżdżały samochody obcych wojskowych jednostek? Kogo by to obeszło?

Nie miałem siły na żadne wyjaśnienia. Kogo zresztą mogła zainteresować tragedia w zamożnym domku? Tragedia Austriaków i ich służącej? Miejscowe władze? A niby gdzie ich szukać? Wątpliwe, żeby zostały tu, w tym rozbitym miasteczku, które do wczoraj jeszcze leżało w strefie frontowej. Panował tu jeszcze chaos i cała ta tragedia najpewniej z niego wynikła.

Może trzeba by wracać do pułku? Ale pułk był daleko, a ja nie mogłem zostawić Frani i tych nieszczęsnych starsuszków. Byłem zdany na siebie. Musiałem oddać im ostatnią posługę na tej ziemi.

Nie bardzo jeszcze wiedząc po co, powlokłem się do miasteczka. Nie poszedłem tamtą zrujnowaną ulicą, którą tu przyjechałem, ale uliczkami nad potokiem. Tu mniej było uszkodzonych domów, niektóre stały z pozamykanymi naглуcho okiennicami, wyglądały na opuszczone. Gdzieniegdzie w ogródkach koło ganków czerwieniały wiosenne kwiaty i zakwitał bez. Za jednym z krzaków przy murowanej ścia-

nie ujrzałem człowieka. Był to niemłody Austriak w kapeluszu. Zamiatał zawalone gruzem podwórko, a kiedy mnie zobaczył, zdziwiony znieruchomiał z miotłą w rękach.

– Proszę posłuchać, tam w domku są zabici...

– *Ich verstehe Sie nicht* – pokręcił głową Austriak.

– No, zabici, nie rozumie pan? Mord!

– *Mord?*

– No, mord. Tam w domku...

– *Nein, nein!* – Austriak gwałtownie pokręcił głową. – *Ich bin zivil, ein neutraler Mensch. Nein...*

Bez pożegnania poszedłem dalej. Niech diabli wezmą tego „neutralnego mensza”. Albo mnie nie zrozumiał, albo udał, że nie rozumie. Przeszedłem na drugą stronę króciutkiej ulicy na skraju miasteczka. Za niewysokim ceglany m ogrodzeniem ujrzałem dwie rozmawiające kobiety. Zawołałem je z uliczki. Najpierw podeszła starsza, tęga kobieta w fartuchu, potem ostrożnie zbliżyła się młodsza, chuda i koścista, w męskiej marynarce i spodniach.

– Proszę o wybaczenie, frau. Tam mord, rozumiecie? Trzeba pomóc. Doktor Scharf und frau. Scharf und frau.

– *Doktor Scharf!* – przeraziły się kobiety. – *Mord?*

– No. Zabici. I dziewczyna, frojlajn.

Zaczęły coś do siebie szybko mówić, a ja po raz kolejny w ciągu tej wojny pożałowałem, że kiedyś, w szkole, tak lekceważyłem sobie język niemiecki. Staralem się z innych przedmiotów, a z tego, który na wojnie przydałby się najlepiej, nie bardzo. Stałem i milczałem.

– *Herr Offizier – Kirche! Kirche, verstehen Sie?* – obie zaczęły pokazywać na róg domu.

Tak, zaczynało mi już świtać, że należało pójść do kościoła, którego pozieleniała iglica sterczała spomiędzy oca-

łałych domów gdzieś na skraju miasteczka. To dziwne, że ocalał po niedawnych walkach, ochronił go chyba sam Pan Bóg. Nie wierząc, że uda mi się uzyskać jakąkolwiek pomoc, powlokłem się w tamtym kierunku ciasnymi zaułkami i po jakimś czasie dotarłem do kamiennego ogrodzenia. Za nim wznosiły się stare drzewa, a przez ostro zakończoną bramę widać było wejście do kościoła. Był niewielki, stary, wyglądał dość ponuro. Nieśmiało wszedłem do środka, panował tam mrok i chłód. W głębi zauważyłem palące się świece i usłyszałem cichy, przytłumiony śpiew. Minąłem kolumnę, zrobiłem jeszcze kilka kroków i dostrzegłem gromadkę ludzi skupionych przy otwartych trumnach; za nimi stał duchowny z modlitewnikiem w ręku. Odprawiano tu mszę za zmarłych, nie widziałem, czy byli to cywile czy wojskowi. Gdzieś z boku wyszedł człowiek w czarnym ubraniu i nieco zdziwiony zatrzymał się przede mną.

– Ojcie duchowny – powiedziałem łamiącym się głosem.

– Tam mord, doktor Scharf...

– *Doktor Scharf* – powtórzył duchowny spokojnym i, jak mi się wydawało, obojętnym tonem. – *Mord?*

– Mord – odpowiedziałem. – Frau i dziewczyna, frojlajn.

– *Fräulein? Drei Morde?*

– Draj morde.

Duchowny krótkimi ruchami nakreślił znak krzyża na piersi i zaczął mi coś tłumaczyć, ale nie rozumiałem co. W końcu domyśliłem się, że mam poczekać. Wszedłem z przygnębiającego półmroku kościoła na ocieniony drzewami dziedziniec. Poczekać? Chyba rzeczywiście o to chodziło. Muszą się pewnie czegoś dowiedzieć, a ja powinienem coś wytłumaczyć. Doszło przecież do przestępstwa –

zabójstwa i rabunku. Duchowni to wprawdzie nie oficerowie śledczy, ale...

Rozmyślałem o tym, stojąc przez jakiś czas przed starym, pociemniałym od czasu kościołem i po raz nie wiadomo który próbowałem odpowiedzieć sobie na bolesne pytanie: kto to zrobił? Kto zabił, gospodarzy i dziewczynę? Byli niewinnymi ofiarami przypadku, czy chodziło o jakąś zaplanowaną akcję? Może winny był tamten ładniutki domek? Wyglądało na to, że Scharfowie dostali ten spadek nie w porę. Zaraz... Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, nietrudno było zgadnąć, kto mógł się tego dopuścić. Takie rzeczy już się zdarzały, nie tylko w Austrii. Zeszłego roku, podczas formowania naszego pułku koło Łucka, rozstrzelano dwóch z kompanii transportowej. Pohulali sobie do woli – napili się i zgwałcili kobietę na chutorze, zabili jej małego syna. Inna rzecz, że nie rabowali. Pewnie nie było czego. Tu zaś pojawiły się spore możliwości, znaleźli się też tacy, co chętnie z nich skorzystali. Zwłaszcza tu, w „barłogu bestii”, w „niehumanicznym społeczeństwie burżuazyjnym”...

Biedna Frania! Ratowała się przed wojną ucieczką do Europy i właśnie w Europie wojna ją dopadła. Tylko dlaczego właśnie ją? Ja miałem więcej okazji by umrzeć, a żyję.

Do kościoła podeszły jeszcze dwie kobiety w czarnych kapeluszach, obrzuciły mnie zdumionymi spojrzeniami – byłem tu chyba najmniej spodziewanym gościem. Sam czułem, że moja obecność jest tu niedorzeczna, ale czekałem. Zdawałem sobie sprawę, że nie mogę liczyć na zbytnią przychylność. Zapewne nie mieli pewności, kto dopuścił się rozboju w mieszkaniu Scharfa, ale mogli się tego domyślać. Może mieli swoje podejrzenia. Dlatego czekałem tu, przed kościołem. Moja cierpliwość powoli się kończyła,

kiedy z jakiejś uliczki wyjechała fura i skręciła do bramy. Dwa perszerony, ledwie przestawiając grube jak kłody nogi, potulnie zatrzymały się naprzeciwko. Z płaskiej fury zeskoczył człowiek w berecie, z ogoloną twarzą. Zobaczył mnie i coś wymamrotał, zamachał rękami. Zrozumiałem, że jest niemy.

Z kościoła wyszedł duchowny, który już ze mną rozmawiał.

– *On prywazit Verstorbene zur Kirche zu begraben* – powiedział.

Wydawało mi się, że go rozumiałem i wyszedłem spod arkady. Niemy szarpnął lejcami i ruszyliśmy wzdłuż ogrodzenia. Szedłem przodem, fura cały czas zostawała z tyłu. Chyba za bardzo się śpieszyłem, a potężne perszerony nie mogły iść szybciej.

Jakoś dobrnęliśmy do nieszczęsnego domku nad potokiem. Wszystko było w nim jak przedtem, kiedy go zostawiłem. Stanęliśmy z niemym przed dziewczyną, podniosłem obrus. Ujrzawszy nieżywą Franię niemy zaszwargotał coś niewyraźnie i rozpaczliwie, zaczął się okładać rękami, chcąc wyrazić gniew. Ja starałem się ukryć swoje uczucia na dnie duszy, nie miałem już sił, by je okazać. Położyliśmy dziewczynę ostrożnie na obrusie, zawinęliśmy ją trochę i przenieśliśmy na furę. Tam już nie mogłem powstrzymać łez i nie wstydzilem się ich. Który to już raz przeklinałem cały świat. I siebie samego. Po co ją tu zostawiłem, wczoraj trzeba było ją zabrać. Ale ja nie miałem odwagi, wstydzilem się. Swoich chłopaków, dowódcy batalionu, „smiersza”. Teraz się ani nie wstydzilem, ani nie bałem. Nikogo. Tylko co z tego... W ten sam sposób i w tym samym obrusie przenieśliśmy na furę długie ciało doktora Scharfa i je-

go żonę. Na szerokiej furze starczyło miejsca dla wszystkich. Niemy przykrył ciała obrusem i tą samą drogą ruszyliśmy do kościoła. Niemy siedł z jednej strony fury, ja z drugiej. Gdzieniedzie z podwórzy i okien patrzyli na naszą smutną procesję ludzie, nieliczni mieszkańcy tego miasteczka. Ja nie patrzyłem nigdzie. Brnąłem jak ślepiec, nie widząc ani ulicy, ani ludzi, ani zwycięstwa. Zupełnie jakbym wypadł z czasu, nie czułem żadnego związku ze światem. Zostałem oszukany. Przez ludzi albo przez los. Może przez wojnę. Albo przez zwycięstwo, które świętowano teraz beze mnie na tamtej łączce. Moim udziałem stało się inne święto. Czarne święto rozpaczy.

Kiedy dojechaliśmy do kościoła, z dziedzińca wynoszono właśnie trumny tych, za których odprawiono mszę wcześniej. Trochę poczekaliśmy, potem do naszej fury podeszli ludzie. Bez specjalnego smutku obejrzeni zabitych, wymienili kilka zdań, westchnęli i uczynili znak krzyża. Stałem z boku czekając, że może i do mnie podejda – z gniewem, wyrzutami albo przekleństwami. Ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Jakby mnie w ogóle nie zauważali. Pomyślałem sobie: czyżby pogrzebali już tak wielu, że zdążyli zobojętnieć? Czyżby nie interesowało ich na przykład, kto i dlaczego zabił? Cóż jednak mógłbym im powiedzieć? Co naprawdę wiedziałem? Pojedyncze trumny z nieboszczykami wnosili za kościół. Nie poszedłem z nimi, stanąłem w cieniu pod drzewami i z daleka się przyglądałem.

Za kościołem, przy kamiennym ogrodzeniu, znajdował się niewielki cmentarz z porządnie utrzymanymi, wysypanymi żwirem alejkami, na omszałych nagrobkach widniały wyblakłe napisy, wzdłuż alejek stały przysadziste luterańskie krzyże z czarnego i szarego marmuru. W odległym koń-

cu cmentarza, gdzie nie było drzew, grzebano nowych zmarłych. Rozkopana ziemia, pięć kobiet w czerni. Czy nie tam pochowają i moich nieszczęśników? I Franię. Chciałem podejść, obejrzeć to miejsce, ale się nie odważyłem. Musiałem trzymać się blisko wejścia do kościoła.

Nie wiedziałem, co działo się wewnątrz kościoła, gdzie mnie nie poproszono, a sam nie poszedłem. Wciąż trudno mi było się opanować. Chwilami wstrząsał mną niemy szloch, ale nie byłem w stanie zapłakać. Coś mnie ścisnęło za gardło i nie puszczało. Chodziłem po ścieżce wzdłuż kościoła, tam i z powrotem. Ludzie, którzy wchodzili do kościoła z ulicy albo z niego wychodzili, nie przestawali przyglądać mi się ze zdumieniem. Nikt jednak o nic nie zapytał, jakby dla nich wszystko było jasne. I to, że odbywał się tu pochówek, i to, że przy kościele sterczał sowiecki oficer. A może ten brak zainteresowania był manifestacją ich stosunku do mnie? Trudno mi to było przyznać przed sobą, ale nie miałem podstaw, by całkowicie odrzucić taką możliwość.

Zresztą, ich stosunek do mnie nie bardzo mnie teraz obchodził. Interesowało mnie jedynie to, co działo się w kościele. To dlatego wędrowałem tam i z powrotem, tam i z powrotem. Wspominałem wieczorną opowieść Frani, naszą rozmowę. A także słowa nieszczęsnego doktora Scharfa. Nie protestowałem, słysząc co mówił o wojnie, potem o pokoju. Wojna była dla nas wielką szkołą, to na wojnie rozumiałem wiele rzeczy. Przede wszystkim to, że nie warto się bać. Na wojnie nic ci nie zrobią, mogą cię najwyżej zabić albo zranić. Jedno i drugie było czymś bardzo prostym, niemal prymitywnym. Dopiero po wojnie mogą zrobić z twego życia piekło. Dopiero wtedy może ci się odechcieć żyć.

Po godzinie, może dwóch, zawołano mnie. Przeczuałem, że zbliża się najważniejszy moment. Włożyłem zdjętą z głowy furazerkę do kieszeni i wszedłem w półmrok kościoła. Tam czekali na mnie duchowni. Tłumaczyła chuda mniszka o bladej twarzy.

– Niech pan powie, jak byli zmarli ci ludzie – zwróciła się do mnie nie wiedząc czemu po polsku. Duchowni patrzyli na mnie z uwagą.

– Nie widziałem – odpowiedziałem ochryplym głosem.

– Kiedy przyjechałem, już nie żyli. Zabili ich.

– Kto ich zrobił zmarłymi?

– Nie wiem.

– Jaką konfesję miała młoda panienka?

– Kto wie. Może była katoliczką.

– Dobrze – powiedziała mniszka i zaczęła mówić do duchownych po niemiecku. Ci zgodnie skinęli głowami. O nic więcej nie pytali, reszta to dla nich rutyna. Podeszli do nieboszczyków i wtedy zajrzałem do trumny stojącej najbliżej. Przykryta czymś po sam podbródek Frania leżała cichutko, jak żywa, która tylko udaje martwą. Udawała na zawsze.

Grupka ludzi będących w kościele zaczęła śpiewać. Nie rozumiałem słów, ale przejmująca melodia przeniknęła mnie na wskroś. Bardzo się bałem, że nie wytrzymam i wybuchnę płaczem. Łzy mąciły mi wzrok, z trudem udało mi się zapobiec, by nie skapywały na ziemię. Dziwne, ale poza mną nikt nie płakał, wszyscy śpiewali jak w ekstazie, melodia anielskiego chorału unosiła się pod ciemnym sklepieniem kościoła. Możliwe, że był to ostatni pogrzeb tej wojny. Spóźniony pogrzeb. Złe wojenne moce uzupełniały listę ofiar. Jakby nie zdążyły tego zrobić przez cztery poprzednie lata.

Gdy zaczęli zamykać trumny, podszedłem bliżej, ale się spóźniłem i już nie zobaczyłem Frani. Czarne wieko schowało ją przede mną na zawsze. Ludzie zaczęli podnosić trumny. Mężczyzn było tu niewielu, więc wynoszono je po kolei. Gdy brali trumnę z Franią, ja też podstawiłem ramię. Trumna nie ważyła zbyt wiele i była chyba za duża na drobne dziewczęce ciało. Pewnie dlatego wydawało mi się, że w środku Frania się porusza. Poruszała się chyba z powodu naszych nieskoordynowanych kroków. Obeszliśmy kościół i żwirowaną alejką podreptaliśmy na koniec cmentarza. Przy murze, w samym kącie, widniały kopce kilku świeżych mogił. Z dwóch ostatnich wlatywał w górę żwir – to dwaj grabarze kończyli pracę. Jednym z nich okazał się niemy furman w niebieskim berecie, z którym jeździliśmy po zabitych. Postawiliśmy trumnę Frani przy mogi-le, mężczyźni ruszyli do kościoła po pozostałe. Po chwili namysłu poszedłem za nimi.

Kiedy wyniesiono wszystkie trumny, duchowny wygłosił kazanie, wszyscy się przeżegnali. Ja też się przeżegnałem. Potem trzy razy przeżegnałem trumnę Frani. Grabarze szybko i zręcznie opuścili ją na sznurach do dołu.

I to było wszystko.

Nie patrzyłem, jak opuszczali pozostałe. Zakopywałem Franię. Szpadłem zgarniałem i sypałem żwir na czarne wieko trumny. Gdy trumna schowała się pod żwirem, odpocząłem trochę, a po chwili wróciłem do pracy. Kiedy skończyłem, z reszty zgarniętego żwiru zrobiłem króciutki, jak dla dziecka, kopczyk – odpowiadający wzrostowi Frani. Zapłakana, milcząca kobieta w czarnej woalce przeżegnała mnie z oddali. Cóż, dzięki, pocziwa Austriaczko. A tobie, moja kochana, niech lekką będzie ta austriacka ziemia.

Nie żegnając się z nikim, znużony powlokłem się do bramy. Nie byłem w nastroju do pożegnań i podziękowań. Nie chciałem nikogo słyszeć. Ani widzieć. Czułem się pusty i wyczerpany. Dopiero w zaułku, uszedłszy spory kawałek od kościoła, włożyłem furażerkę i obejrzałem się. Tak zazwyczaj robiłem podczas wojny, żeby lepiej zapamiętać drogę, gdy zamierzałem dokądś wrócić. A tu powinienem wrócić. Powziąłem twardy zamiar w tym względzie.

Ale nie wróciłem – nigdy.

Jan Maksymiuk